PŁOMYKI

3

1980

Co trzy lata ludność naszego kraju powiększa się o milion osób. Na początku b. roku było nas 35 mln 382 tys.
Należymy do krajów o średnim przyroście; pod względem liczby ludności znajdujemy się na siódmym miejscu w Europie po Związku Radzieckim, RFN, Włoszech, W. Brytanii, Francji i Hiszpanii.
W dalszym ciągu występuje w Polsce przewaga kobiet, których jest o milion więcej niż mężczyzn.
Przeszło 20 mln Polek i Polaków mieszka w miastach i nadal trwa przenoszenie się mieszkańców ze wsi do miast.
Prawie połowa ludności miejskiej żyje w 33 miastach mających ponad 100 tysięcy osób. Warszawa ma już więcj niż półtora mln mieszkańców, Łódź – przeszło 830 tys., Kraków – stał się miastem 700-tysięcznym, Wrocław 600-tysięcznym, poznaniaków jest przeszło pół miliona, a gdańszczan około 450 tys.

Jakie były najciekawsze osiągnięcia polskiej nauki i techniki w ubiegłym roku? Z listy, jaką ogłosiła Polska Agencja Prasowa, przytaczamy tylko niektóre dane:
– W Lublinie powstała pierwsza w krajach socjalistycznych linia światłowodowa do przeprowadzania rozmów telefonicznych. Wykorzystanie światła, a więc promieniowania elektromagnetycznego, umożliwia przekazywanie na raz w jednym promieniu świetlnym wielu dziesiątków rozmów. Polska jest ósmym krajem na świecie stosującym tego typu nowoczesne urządzenia.
– Naukowcy z Instytutu Chemicznej Przeróbki Węgla w Zabrzu opracowali nową metodę odgazowywania węgla. Umożliwia ona wykorzystanie w elektrowniach spalin, które dotychczas ulatniały się bezużytecznie w powietrze. Udało się odzyskać zawarty w nich gaz i smołę, nadającą się do dalszej przeróbki na różne produkty chemiczne.
– Po raz pierwszy w dziejach medycyny podjęto w krakowskiej Akademii Medycznej próbę leczenia miażdżycy tętnic nóg za pomocą specjalnego hormonu. Dzięki temu lekowi ustępuje ból i, co najważniejsze – pacjenci będą mogli uniknąć amputacji nóg.
– W powietrze wzniósł się pierwszy śmigłowiec polskiej konstrukcji „Sokół", rodem ze świdnickiej Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego. Przy jego budowie zastosowano najnowsze osiągnięcia techniki lotniczej; „Sokół" należy więc do maszyn o wysokim standardzie światowym. Konstrukcja śmigłowca jest tak pomyślana, że może występować w różnych wersjach. Łatwo go np. dostosować do prac rolniczych, geologicznych, kartograficznych. „Sokół" może przewozić pasażerów – do 12 osób, ładunki – do 1500 kg, służyć dla celów szkolno-treningowych, a także jako latająca karetka pogotowia ratunkowego.
Śmigłowiec wyposażony został w dwa silniki o mocy 870 KM każdy; ma urządzenia, które umożliwiają lot w trudnych warunkach atmosferycznych, zarówno dniem, jak i nocą.
Tego typu śmigłowce są poszukiwane, „Sokoły" mogą więc liczyć na powodzenie za granicą. Na razie trwają jeszcze próby. Seryjna produkcja ma nastąpić za dwa lata.
– Do wielu odmian roślin uprawnych przybyły w ub. roku, dzięki pracy poznańskich naukowców, nowe odmiany rzepaku, całkowicie pozbawione szkodliwych dla organizmu człowieka związków chemicznych. Odmiany te przydadzą się w przemyśle spożywczym, wykorzystane też zostaną jako pasza.
– Naukowcy z uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu opracowali nowe sposoby uszczelniania wyrobisk w kopalniach soli. Dotychczasowe „plomby" z cementu lub innych materiałów nie były szczelne – do wyrobisk przeciekała woda. Po zastosowaniu nowej metody kopalnie będą lepiej chronione przed zalaniem.

W KRAJU

NA ŚWIECIE

„Płomyk" wydawany jest
przez Instytut Wydawniczy
„Nasza Księgarnia".
Czasopismo ukazuje się od 1917 r.

ZESPÓŁ REDAKCYJNY
Anna Horodecka
Jan St. Kopczewski (redaktor naczelny)
Maria Kozikowska
Wiesława Krajewska (sekretarz redakcji)
Grażyna Minkowska
Ewa Kaja Perkowska
Kazimierz Stodolak (redaktor techniczny)
Barbara Wiśniewska
Kalina Zarzycka (redaktor graficzny)

NA OKŁADCE: Zosia i Tadeusz wg ilustracji M. Andriollego.

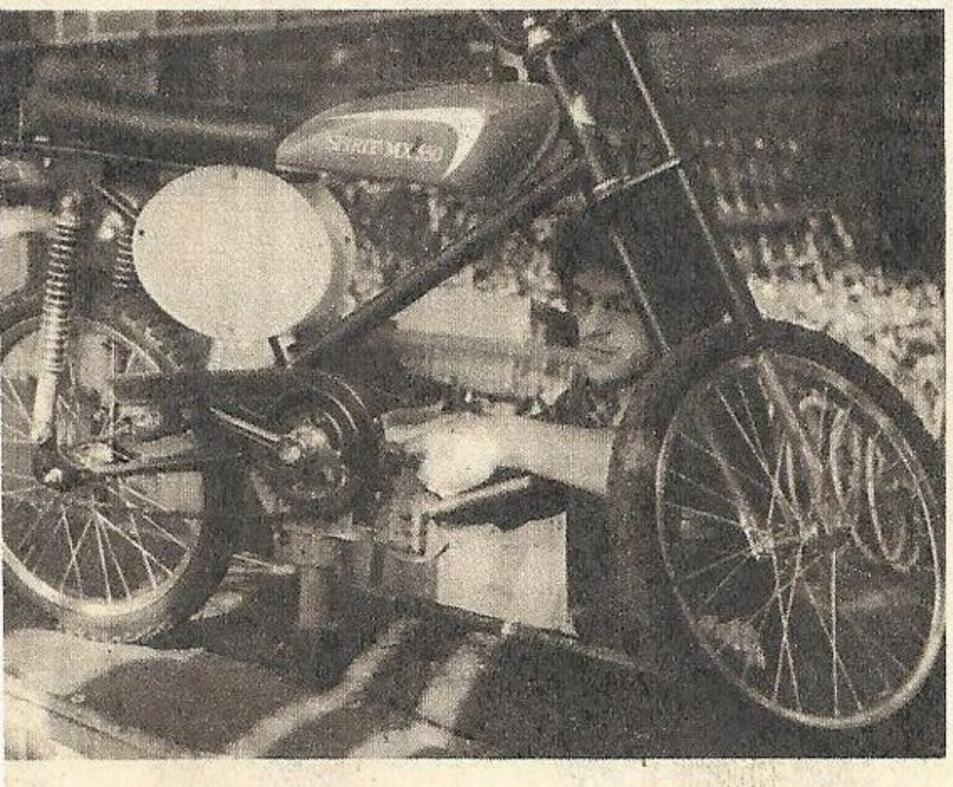
1

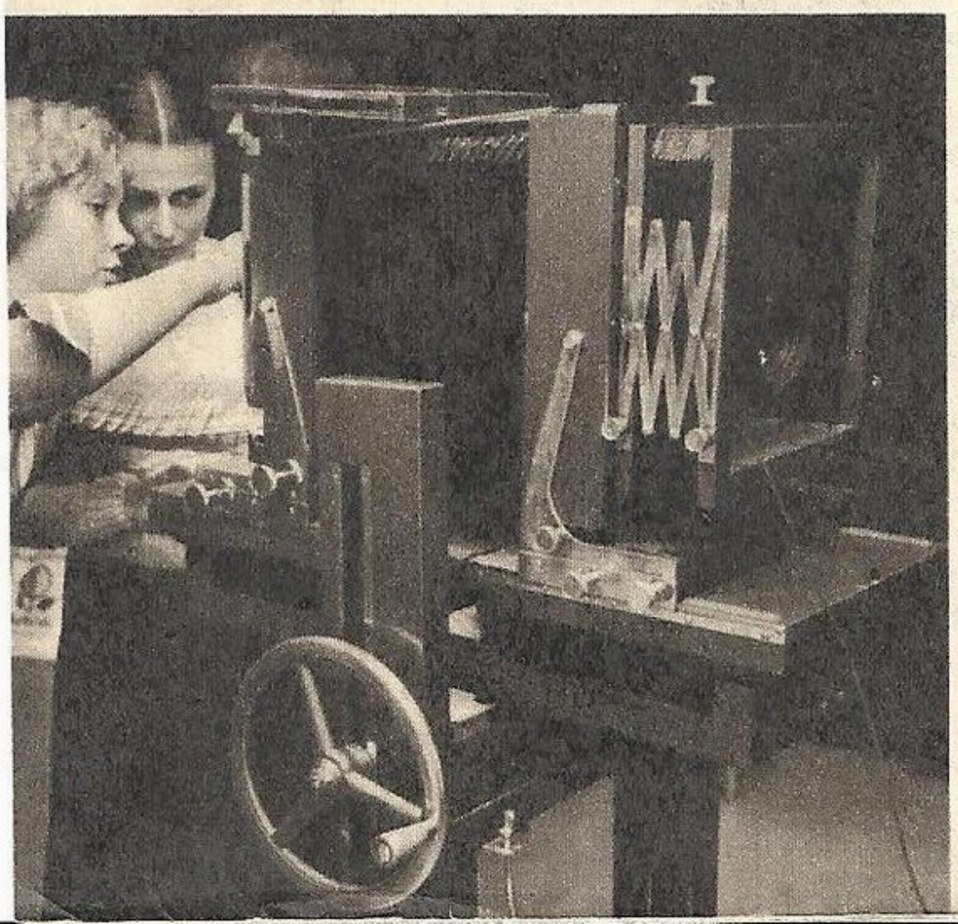
2

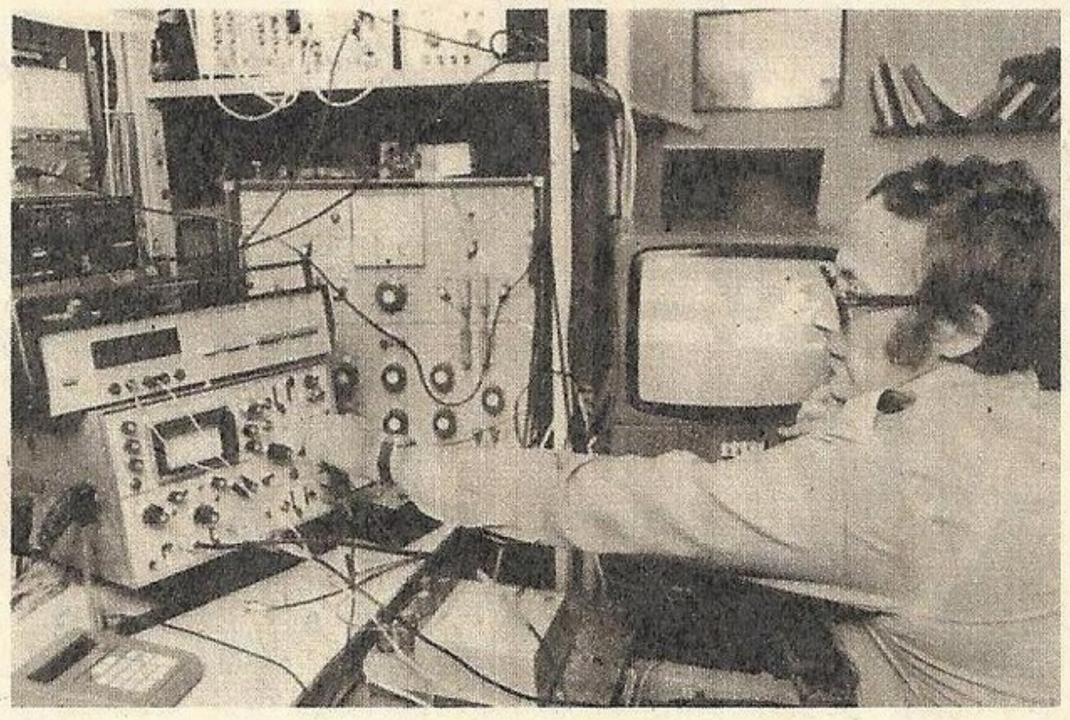
3

4

„Książka dla każdego" – pod takim hasłem nasze wydawnictwa przygotowują do druku książki najbardziej popularne i szczególnie poszukiwane.

W ciągu 35-lecia powojennego ukazało się w Polsce 260 tys. tytułów książek w ogólnym nakładzie przekraczającym 3 i pół mld egzemplarzy. Nakłady te okazały się za małe – w księgarniach stale brakuje atrakcyjnych dzieł z literatury pięknej, a także encyklopedii i słowników. Pozycje z biblioteki „Książka dla każdego" będą drukowane w wysokich, nieraz kilkusettysięcznych nakładach, a braki w księgarniach mają być szybko uzupełniane.

Na razie z tej serii ukazały się „Baśnie" Andersena i tom utworów Jana Brzechwy zatytułowany „Brzechwa dzieciom". Obie pozycje, pięknie ilustrowane, wydała „Nasza Księgarnia" w 250 tys. nakładach. Inne wydawnictwa przygotowały już nową edycję „Pana Tadeusza" A. Mickiewicza, „Krzyżaków" H. Sienkiewicza, „Wojnę i pokój" Lwa Tołstoja, „Mitologię" Jana Parandowskiego oraz encyklopedię dla dzieci „Polska – moja ojczyzna".

W tym roku przybędą dalsze pozycje, m. in. „Wybór poezji" Jana Kochanowskiego, „Lalka" Bolesława Prusa, „Trylogia" Henryka Sienkiewicza, „Przedwiośnie" Stefana Żeromskiego, „Odyseja" Homera, „Król Maciuś Pierwszy" Janusza Korczaka, „Poczet książąt i królów polskich", „Słownik poprawnej polszczyzny".

Nowe miasta – nowe herby. W okresie 35-lecia Polski Ludowej dziesiątki miejscowości w naszym kraju otrzymały prawa miejskie, a wraz z nimi – własne herby.

W dawnych czasach herby nadawał miastu król lub wielmoża zarządzający danym terenem. Dziś sprawami tymi zajmują się urzędy wojewódzkie, które zatwierdzają projekty herbów przedstawione przez miasta. Dla przykładu podajemy kilka nowych herbów uzdrowiskowych miejscowości.

„Z ojczyzną rosnąć, dla niej tworzyć i budować" – to hasło tegorocznego, XI Turnieju Wiedzy Obywatelskiej, organizowanego przez Związek Harcerstwa Polskiego.

Turniej składa się z wielu zadań do wyboru. W tym roku przygotowano jednak jedno zadanie przeznaczone dla wszystkich drużyn. Jest to „Album – Polska 1980". Chodzi o dokładne poznanie własnych miejscowości, ich historii, rozwoju, przemian, jakie dokonały się w Polsce Ludowej, jak też o podjęcie pracy na rzecz najbliższego otoczenia.

Z wyborem innych zadań nie ma kłopotu. Organizatorzy przygotowali bogaty ich zestaw. Można np. zająć się zbieraniem eksponatów do izb regionalnych i kącików muzealnych, urządzić spotkania z miejscowymi twórcami, działaczami, przygotować cykl audycji do szkolnego radiowęzła, zorganizować wystawę fotograficzną okolicznych zabytków.

Można zebrać informacje o działalności miejscowej biblioteki, teatru, klubu, urządzić wieczór regionalny, koncert, wystawę rysunków, montaż literacko-muzyczny, kolorowy festyn czy jarmark z pokazem własnoręcznie wykonanych ludowych haftów, wycinanek, przedmiotów codziennego użytku.

Wdzięczne zadanie mają te drużyny czy zastępy, które zajmują się sprawami zagospodarowania Wisły, zbieraniem podań i legend o tej rzece, urządzaniem wiślanej galerii sztuki.

Nie brakuje więc turniejowych zadań. Każdy zespół harcerski może wybrać dla siebie coś ciekawego.

Rabka Ustroń Wisła

1. **„Motocross" – to nowy model roweru dla młodzieży, opracowany w zakładach „Romet" w Bydgoszczy. Pojazd przypomina motocykl wyścigowy.**

2. **Przy Zespole Szkół Zawodowych w Łodzi otwarto w tym roku policealne studium fotograficzne. Po dwóch latach nauki absolwenci otrzymają tytuł technika fotografa.**

3. **„Neptun 301" to nowy model telewizora kolorowego o mniejszym od „Jowisza" ekranie, opracowany przez gdańskich konstruktorów. Na zdjęciu próby nowego aparatu.**

4. **Takimi pojazdami posługują się pasterze reniferów w pobliżu Archangielska**

5. **Poznawanie trudnej sztuki wiązania i rozpinania sieci w Zbiorczej Szkole Rybackiej w Giżycku. Szkoła – jedna z nielicznych tego typu w naszym kraju – kształci rybaków śródlądowych**

6. **Na wystawie tkaniny artystycznej w Jeleniej Górze, organizowanej od sześciu lat przez Związek Plastyków we Wrocławiu i Fabrykę Dywanów w Kowarach.**

7. **Potężny aerobus amerykański do transportu wielkich elementów potrzebnych przy budowach**

8. **Tablica świetlna ustawiona przy jednym z najruchliwszych skrzyżowań ulic w Tokio podaje liczbę zarejestrowanych automatycznie decybeli oraz stopień zanieczyszczenia powietrza przez spaliny**

5

6

8

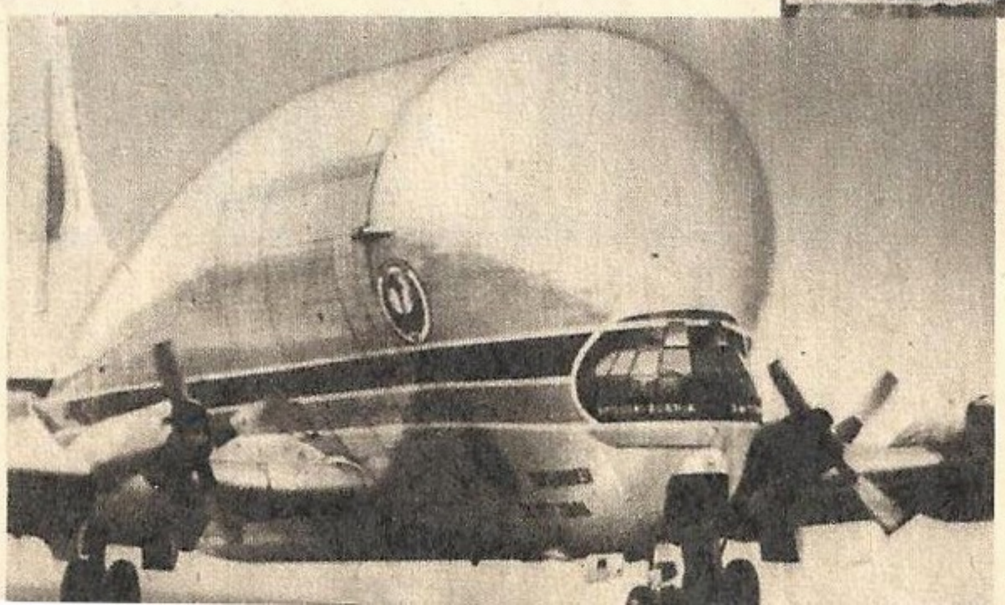

7

Jesteśmy w SOPLICOWIE!

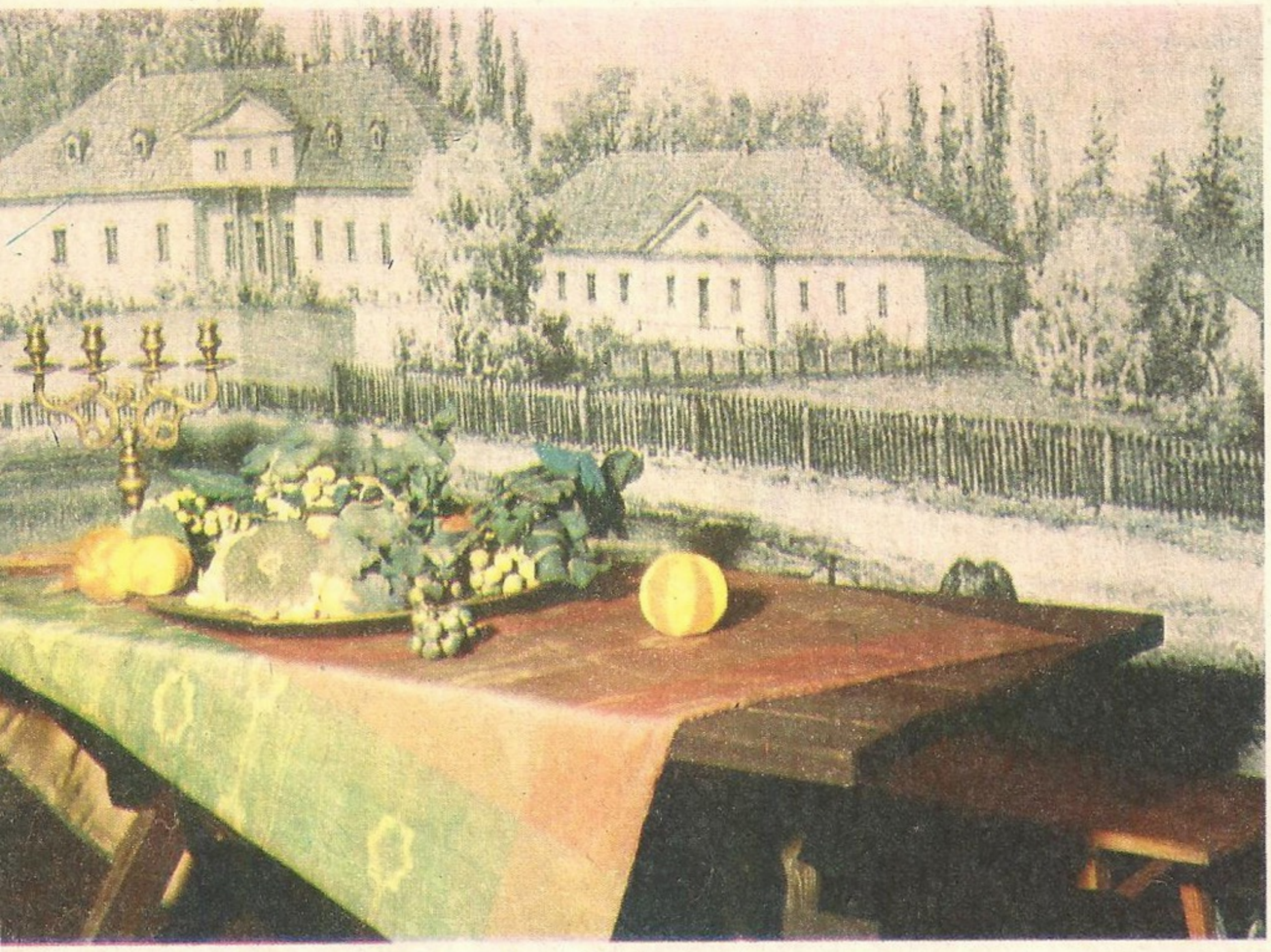

Wielki stół zastawiony owocami, w oczekiwaniu na gości...

Czeczotowy sekretarzyk, który mógłby służyć Telimenie jako biurko, w głębi postać Gerwazego

„Kraj lat dziecinnych...”

„Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju
Na pagórku niewielkim, we brzozowym gaju,
Stał dwór szlachecki, z drzewa, lecz podmurowany;
Świeciły się z daleka pobielane ściany”...

Czy Soplicowo istniało naprawdę? Otóż nie było takiej miejscowości na mapie ówczesnej ziemi nowogródzkiej. Powstała ona w wyobraźni poety.

– Ale takich dworków jak soplicowski istniało sporo na tych terenach – mówi pani Zofia Wolska-Grodecka, kustosz Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie i autorka wystawy poświęconej „Panu Tadeuszowi”. Mickiewicz pamiętał je doskonale, zarówno z dzieciństwa jak z lat młodzieńczych. Bywał m.in. w Tuhanowiczach, Horodziłówce, Cząbrowie, Wołkowiczach i wrażenia wyniesione stamtąd przeniósł do swojego poematu.

„Nigdzie na ziemi nie ma tak wesołego życia, jak w litewskich wioskach i zaściankach – pisał poeta do przyjaciela w 1846 r. – Takiego życia hojnie użyłem między 1815 a 1820 latami, szczególnie w domu Wereszczaków (...) gdzie w towarzystwie Tomasza Zana i innych przyjeżdżaliśmy spędzać wakacje...”

Zajrzyjmy na chwilę do wnętrza soplicowskiego dworu, odtworzonego na warszawskiej wystawie.

Na ścianach obrazy Kościuszki, Rejtana

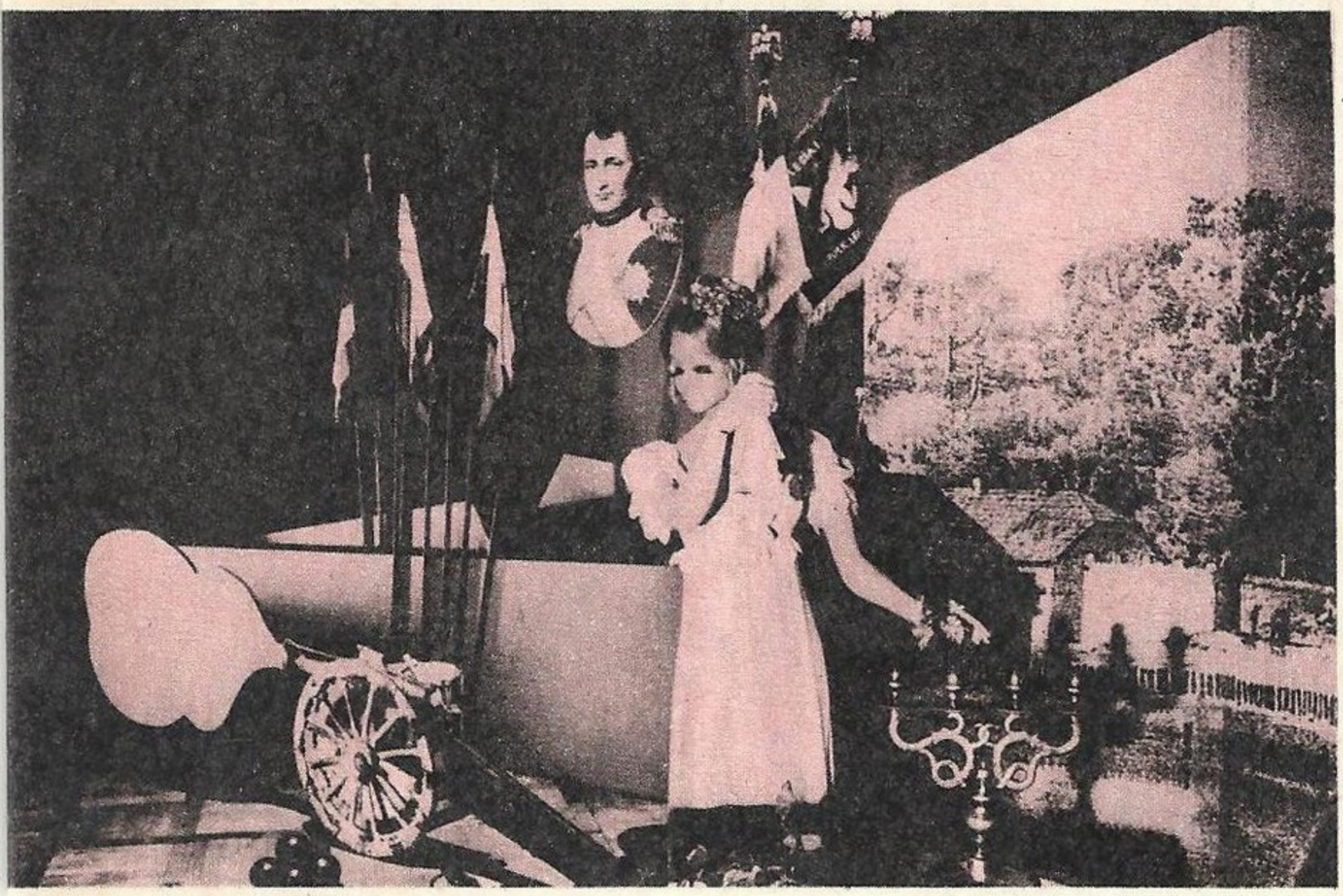

i innych znakomitych mężów – takie, jakie zobaczył Tadeusz, kiedy po ukończeniu nauk zawitał na wieś do stryjaszka.

„Nawet stary stojący zegar kurantowy,
W drewnianej szafie poznał u wnijścia alkowy,
I z dziecinną radością pociągnął za sznurek,
By stary Dąbrowskiego usłyszyć mazurek".

Również na wystawie brzmią dźwięki mazurka dobywające się ze starego zegara kurantowego. A wokół przeróżne rekwizyty przypominające wydarzenia, które rozgrywają się w poemacie.

W kącie masywna postać księdza Robaka z kapturem nasuniętym na oczy i w habicie przepasanym białym sznurem z tzw. ogórkami-węzłami, a po przeciwnej stronie pokoju zaciekły wróg Sopliców – Gerwazy, w liberii, jaką nosiła służba Horeszków, ze słynnym „Scyzorykiem" i pękiem kluczy za pasem. Z sufitu zwisa róg myśliwski Wojskiego i skóra upolowanego nie-

O historycznych wydarzeniach przypominają sztandary, proporce, dawna broń, portret Napoleona.

Dawny zegar kurantowy, róg Wojskiego. W gablocie – strój szlachecki

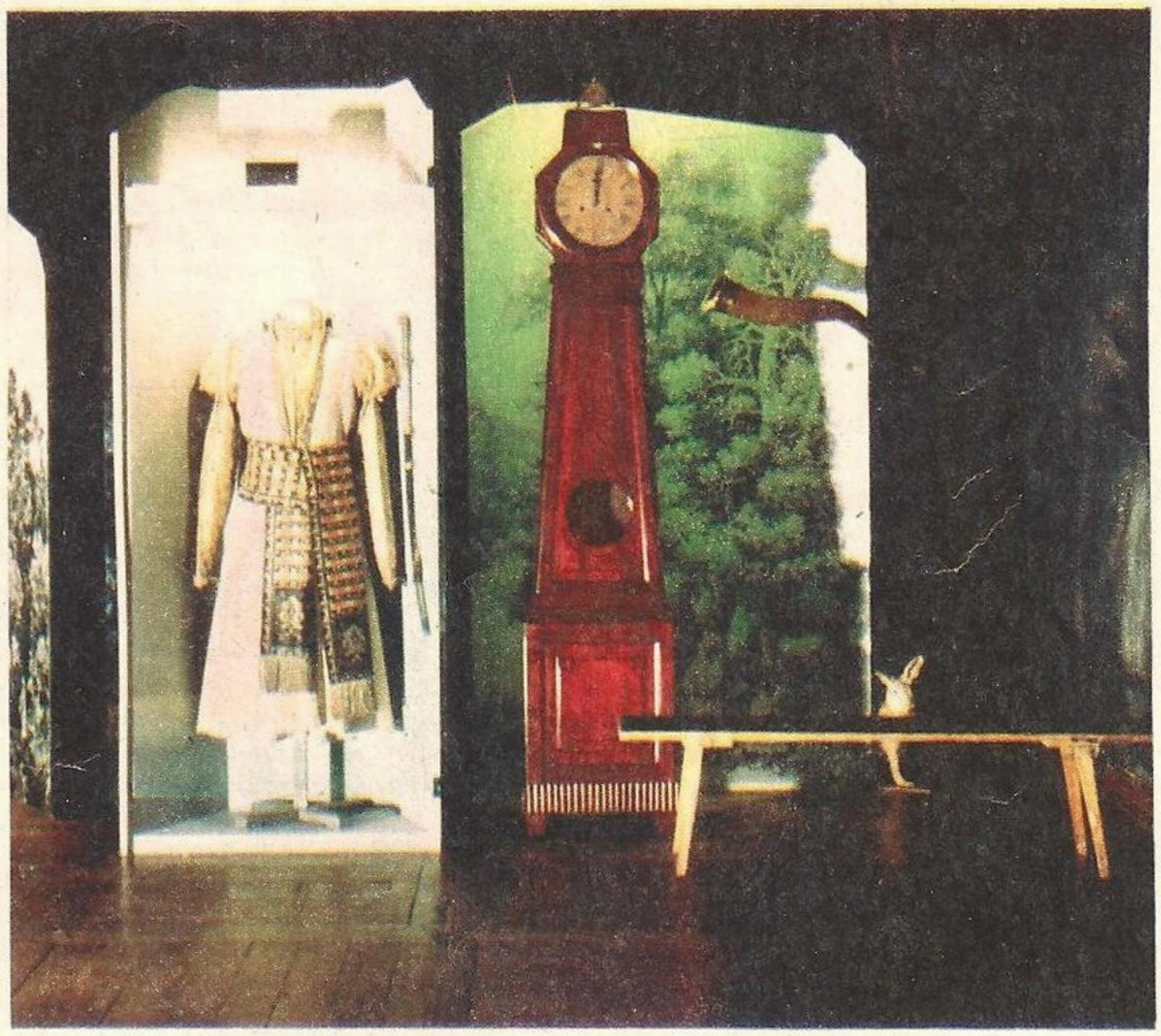

Barwna scena z zaręczyn Zosi i Tadeusza

Różne wydania „Pana Tadeusza"

„Sejmik w kościele" – rysunek Jana Pawła Norblina

dźwiedzia, na ścianie inne trofea i broń myśliwska, a wychylający się spod krzaka zając przypomina sławetny spór Rejenta z Asesorem o zalety ich chartów – Kusego i Sokoła.

Są autentyczne drewniane cymbały z XVIII w., obok zaś rysunek Norwida przedstawiający koncert Jankiela. Jest nawet stylowy piękny sekretarzyk czeczotowy, który z powodzeniem mógłby służyć Telimenie jako biurko. Łatwo sobie wyobrazić, jak do tych niezliczonych tajemniczych szufladek, zamykanych na pozłacane kluczyki, romansowa dama chowa miłosne listy, różne klejnoty, bielidła i pudry.

W serwantce – szkło i miśnieńska porcelana, taka, jakiej używano przy ucztach w zamożnych domach – malowane talerze i filiżanki, piękne emaliowane noże i łyżki, ozdobne kielichy i puchary. Wydaje się, że brak tylko arcyserwisu, którego wspaniałości tak barwnie umiał opisać Wojski w czasie uczty urządzonej na cześć Henryka Dąbrowskiego i innych polskich jenerałów przybyłych na Litwę wraz z wojskami Napoleona.

O tych historycznych wydarzeniach mówią na wystawie liczne sztandary, proporce, broń z okresu Księstwa Warszawskiego – armatka, karabiny, pistolety, lance, autentyczne mundury i odznaczenia wojskowe, jak też portrety Napoleona i polskich dowódców.

Odtworzony został nastrój radosnego wyczekiwania. Wielki stół zastawiony owocami. Zosia w białej sukience witająca gości... Oto spełniły się marzenia bohaterów poematu: „Jest sława, a więc będzie i Rzeczpospolita".

„O wiosno! Kto cię widział wtenczas w naszym kraju,
Pamiętna wiosno wojny, wiosno urodzaju!
O wiosno, kto cię widział, jak byłaś kwitnąca
Zbożami i trawami, a ludźmi błyszcząca,
Obfita we zdarzenia, nadzieją brzemienna!
Ja ciebie dotąd widzę, piękna maro senna!
Urodzony w niewoli, okuty w powiciu,
Ja tylko jedną taką wiosnę miałem w życiu".

Wkroczenie wojsk polskich na Litwę przeżywał Mickiewicz w Nowogródku – jako 14-letni chłopiec. Wydarzenia te tak głęboko zapadły mu w serce, że pisząc poemat, nie chce pamiętać o późniejszych tragicznych wypadkach. Woli pożegnać Soplicowo jak baśniową, szczęśliwą krainę...

„I zarzuciwszy wyloty kontusza..."

„Poloneza czas zacząć – Podkomorzy rusza
I z lekka zarzuciwszy wyloty kontusza,
I wąsa podkręcając, podał rękę Zosi
I skłoniwszy się grzecznie w pierwszą parę prosi".

– Co to są wyloty kontusza? Kiedy pytam o to uczniów zwiedzających naszą wystawę – mówi pani Zofia Wolska – nikt prawie nie umie wyjaśnić, ani co oznaczają owe wyloty, ani jak wyglądał kontusz.

Wówczas pokazuję na wystawie staropolskie stroje, które nosili bohaterowie „Pana Tadeusza".

Jak te szaty wyglądały? Najpierw wkładało się żupan – długą suknię z wąskimi rękawami, zapinaną pod szyję na haftki lub pętelki, a na nią kontusz ciemny, harmonizujący z jasnym, strojnym żupanem.

Zarówno jeden, jak i drugi strój szyto z sukna lub jedwabiu, zależnie od zamożności, ozdabiając je jeszcze dodatkowo złotymi lub srebrnymi sznurami. Był to strój odświętny, na co dzień chodziło się w zwykłych żupanach.

A jeśli chodzi o wyloty? Otóż kontusz miał szerokie, rozcięte aż do pach rękawy, właśnie owe wyloty, które co poważniejsze osoby zarzucały sobie na plecy. Chłopców również strojono na święta w kontusiki, ale wyloty zakładano z tyłu za pas.

„Świeci się pas suty..."

Wszystkie szczegóły szlacheckiego ubioru widać najlepiej w malowniczej scenie zaręczyn Zosi z Tadeuszem, zainscenizowanej na wystawie. Girlandy kwiatów, Zosia w prostym, wieśniaczym stroju ozdobionym wstążkami, z wiankiem polnych kwiatów, obok Tadeusz w ułańskim mundurze i strojnym czako z kogucim piórem. A za nimi barwny korowód szlachecki.

„Nad murawą czerwone połyskują buty,
Bije blask z karabeli, świeci się pas suty..."

W gablocie oglądamy autentyczny wspaniały pas słucki, tkany na obie strony złotogłowiem.

– Kiedyś za taki pas można było kupić wieś – mówi pani Wolska. Wyrabiano je

w Słucku, w fabryce należącej do Radziwiłłów.

Wytwórnie pasów znajdowały się również w innych miejscowościach – w Sokołowie na Podlasiu, w Kobyłce pod Warszawą, w Przeworsku, ale jedwabne pasy słuckie, o żywych barwach, bogato zdobione, przetykane srebrem i złotem, zdobyły największą sławę.

Oczywiście tylko najzamożniejszych stać było na ich kupno. Uboższa szlachta – zależnie od pory roku i i okazji – nosiła pasy bawełniane lub też z innego materiału – pracowicie haftowane przez żony i córki. Można było opasywać się nimi wielokrotnie (niektóre miały nawet do 4 m długości), a w umiejętnym wiązaniu węzłów celowały szlacheckie małżonki.

Szlachcic nie mógł się też obejść bez tabakiery, nieocenionej przy nawiązywaniu towarzyskich kontaktów. Kiedy ksiądz Robak chce skupić zainteresowanie słuchaczy, przedstawia im zalety swojej tabakiery z „armiją maleńką" wewnątrz, a Podkomorzy przed wygłoszeniem oracji „brząka" w złotą tabakierkę. Tylko wielmoże nosili tabakiery wysadzane brylantami, drobna szlachta musiała się zadowalać tabakierkami blaszanymi lub z kory brzozowej.

Na wystawie poświęconej „Panu Tadeuszowi" nie mogło zabraknąć tych szlacheckich rekwizytów, wśród których zwraca uwagę tabakierka w kształcie napoleońskiego kapelusza i z podobizną Napoleona na koniu.

Różne typy szlacheckie

Bywało, że wspólne zażycie tabaki i gremialne kichanie zażegnywało na jakiś czas spory, łagodziło nadto zapalczywe temperamenty szlacheckie. A okazji do waśni – jak to przedstawił poeta – nigdy nie brakowało. Szlachta o byle co bierze się za czuby.

Ową sejmikującą i kłócącą się szlachtę trafnie przedstawił Jan Paweł Norblin w swoich rysunkach, które pokazano na wystawie.

Ten francuski artysta, sprowadzony do Polski w 1774 r. przez księcia Adama Czartoryskiego, staje się polskim malarzem i grafikiem. Odtwarza wydarzenia historyczne, rysuje charakterystyczne typy chłopskie, widoki polskich miasteczek i wsi, życie warszawskich ulic, sceny z targów, odpustów, zabaw w karczmach. W jego twórczości przesuwają się różnorodne postacie – mnisi, kupcy, czeladnicy, terminatorzy, wędrowni muzykanci, żebracy. No, i cały korowód typów sarmackich, od magnatów do szaraczkowej szlachty: podgolone głowy, wąsate oblicza, kontusze przewiązane pasem. Szlachta rozgadana, sejmikująca, zrywająca obrady, skora do bitki i wypitki.

Inaczej typy szlacheckie przedstawia Michał Elwiro Andriolli – piewszy wielki ilustrator „Pana Tadeusza". Podobnie jak Norblin był cudzoziemcem (ojciec jego przybył do Polski z Włoch wraz z armią Napoleona, tutaj się ożenił i osiadł) i jak Norblin zajął się odtwarzaniem polskich pejzaży i charakterystycznych typów.

Kiedy lwowski wydawca Altenberg zaproponował mu zilustrowanie „Pana Tadeusza", sławny już wówczas rysownik chętnie podjął się tego zadania. Wychowany w Wilnie, był wielkim miłośnikiem poezji Mickiewicza. Poza tym dobrze znał okoliczne dwory, ich tradycje i obyczaje.

I tak w 1881 r. pojawiło się nowe wydanie „Pana Tadeusza" z pięknymi ilustracjami Andriollego, odtwarzającymi różne sceny poematu.

Oto zajazd na Zamek, gra Wojskiego na rogu w gronie zasłuchanej szlachty, rejent Bolesta sugestywnie przedstawiający biegi chartów, tajemne rozmowy Sędziego z Robakiem, koncert Jankiela, zaścianek Dobrzyńskich, Zosia bawiąca się z dziećmi i Zosia z Tadeuszem, który „wśród pączków barwistego maku stał... jak słonecznik, w błyszczącym kołpaku..." Wszystkie sceny bardzo żywe, pełne temperamentu, nasycone sympatią i ciepłem dla soplicowskiego świata.

I choć Andriolli może zbyt idealnie przedstawił postacie poematu, bez ironii, z jaką niekiedy kreśli je poeta, nie inaczej wyobrażamy sobie bohaterów utworu, jak właśnie w ujęciu tego znakomitego rysownika.

Koncert Wojskiego – rysunek M. Andriollego

„Sinjoro Tadeo"...

Na wystawie długie rzędy obcych wydań „Pana Tadeusza": „Gospodin Tadija",„Gospod Tadej", „Herr Tadeusz", „Panas Tadas", „Thadée Soplitza", „Sinjoro Tadeo", „Master Thaddeus"...

– Dotychczas poemat został przetłumaczony na 22 języki – mówi pani Wolska. – A jeśli chodzi o polskie edycje, to tylko po samej wojnie ukazało się 60 wydań w ogólnym nakładzie około 5 mln egzemplarzy. Pierwsze powojenne wydanie w 1945 r. wyszło na gazetowym papierze. Pochylamy się nad niewielkim tomikiem oprawionym w skórę. To prawdopodobnie z tej serii pochodzi egzemplarz, który zabrał ze sobą Mirosław Hermaszewski w podróż kosmiczną.

Była to jedna z najdziwniejszych przygód tego niezwykłego utworu. Mickiewicz marzył, aby jego księgi „zbłądziły pod strzechy", ale o tym, że „Pan Tadeusz" będzie krążyć w kosmosie – naszemu wieszczowi ani się nie śniło...

Anna Horodecka

Fot. kolor: Adam Kaczkowski

MARCINEK

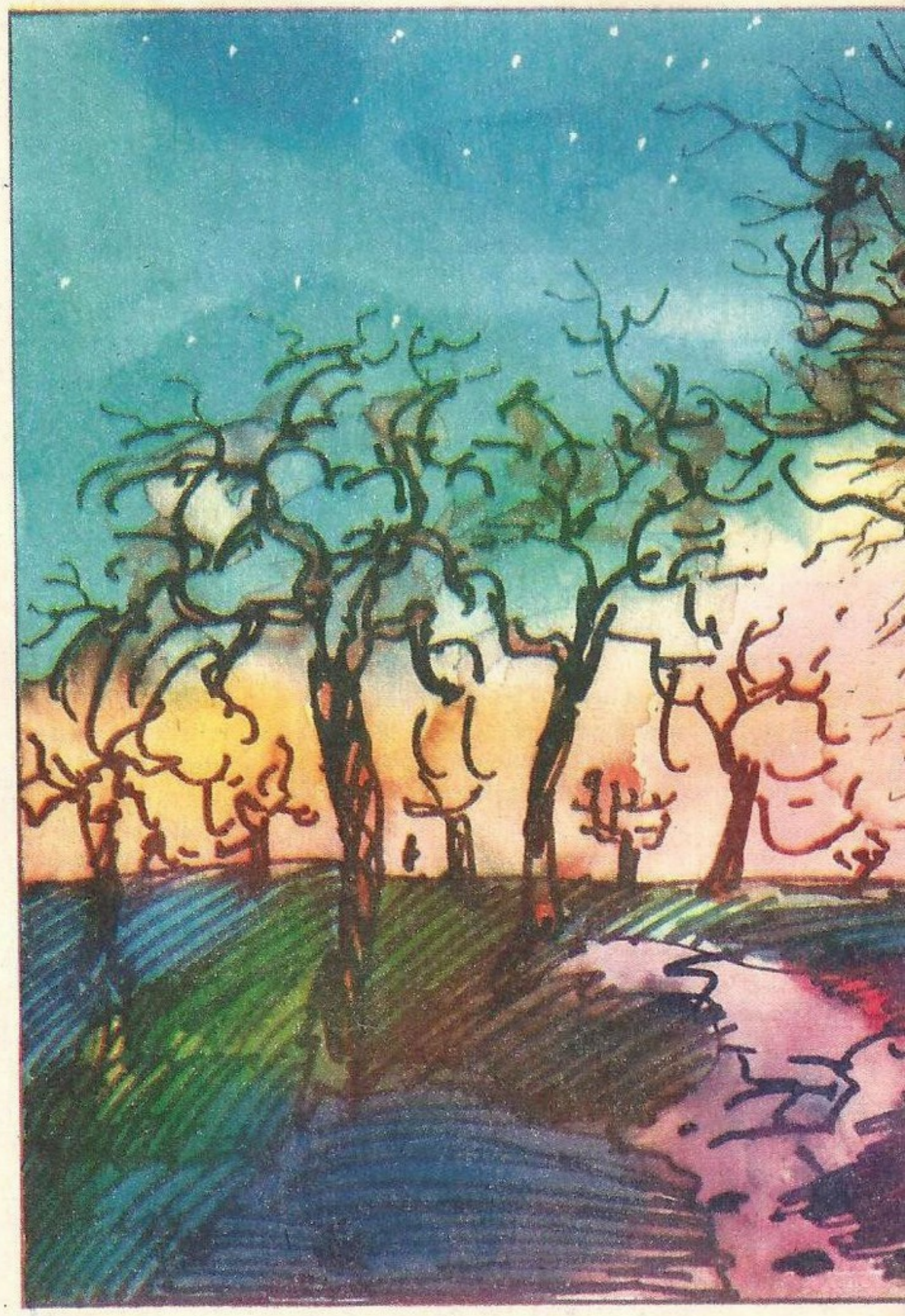

Oto mamy przedproże Kujaw – ziemia kutnowska: rozległa, równinna, żyzna i urodzajna. Masło nie gleba – mówią o niej. Rodzi najcenniejsze plony: pszenicę, buraki, koniczynę, lucernę. Przy sprzyjającej pogodzie – kożuch upraw. W przerostach pogody: bezsilna. Pora deszczowa czyni z niej niedostępną miazgę. Pora sucha – skamielinę, choć rąb siekierą.

Mam przed sobą duże gospodarstwo, snadź komponowane stosunkowo niedawno, albowiem cały obszar to rozległy prostokąt – do niedawna niedościgłe marzenia całych pokoleń chłopskich, osiadłych albo na ,,kaszce'' ziemnej, albo na ,,tasiemkach'', gubiących swoje końce we mgle horyzontalnej: formach przeżytych, idiotycznych, kompromitujących.

Tu przyszedł na świat mój prawnuk. Rozczulające. Kutnowiak. Do krwi sieradzko-łowickiej przypadek domieszał jeszcze krew kujawską. Czas pokaże, co wyniknie z takowej ingrediencji. Pradziadkom nie pozostaje nic innego, jak tylko gorąca obserwacja latorośli z roku na rok i uczucie radości, kiedy ten przybysz bogaci swój język, poczęty dwoma rzeczownikami: mama – tata.

Należało go odwiedzić na początku lipca, kiedy solenizant obchodził trzylecie urodzin, ale nadeszły na mnie ciężkie terminy, wyjątkowo ciężkie, tak że sprawa się odwlokła aż do grudnia i młodzieńcowi stuknęło trzy i pół roku. Nie można było odkładać dalej obowiązkowej, ale przyjemnej wizyty, koniecznie należało powziąć natychmiastową decyzję. Doświadczając przykrych skutków błędnej jazdy kutnowskiego taksówkarza (wóz o mało nie ugrzązł w mazi kutnowskiej gleby), dobrnąłem do rodzinnych pieleszy prawnuka. I...

Nie, nie powitanie zasługuje na uwagę. I nie wręczenie tradycyjnej czekoladki razem z tradycyjnym ,,co się mówi?'' I babci, i mamusi. Przywiozłem mu dwie swoje świeżo wydane książeczki, położyłem na stole przed nim i zainaugurowałem rzecz słowami:

– No, Marcinek, masz tu dwie książeczki do wyboru. Jedna będzie dla ciebie, a druga dla Dorotki. (Dorotka to jego ,,ciota'', ale niewiele co od niego starsza). Którą sobie wybierzesz?

Na okładce jednej widniał zadziornie brzuszek czerwonego gila (to dzieło grafika Wilkonia), a na okładce drugiej kuna leśna w otoczeniu zielonych liści i gałązek (to rysunek Rychlickiego). Jadąc, myślałem w drodze o tym podarunku i pytałem samego siebie: co też z tych dwu pokus ów mój prawnuk wybierze? Zagadnienie stanowiło swoistą grę. W każdej grze na coś się stawia, ja stawiam raczej na ptaka.

Marcin, wyraźnie postawiony w alternatywnej sytuacji, zachował się całkiem dorzecznie: spokojny i uważny, pochylił główkę lekko ku dołowi, raz spojrzał na gila, drugi raz na kunę, po czym wyjął prawą rączkę spod stołu i dotykając palcem okładki Rychlickiego powiedział wyraźnie:

– Tę!

Rujnował z miejsca moje plany i przewidywania. Wprost nie chciało mi się wierzyć we własną porażkę.

– A może tę? – rzekłem wskazując na okładkę Wilkonia, próbując ratować własną koncepcję.

– Nie... tę! – oświadczył młody solenizant stanowczo i ruchem władczym klepnął dłonią po błyszczącej folii obwoluty.

Cóż mi zatem pozostało innego, jako ofiarodawcy, jeżeli nie pytanie:

– Oooo! – przeciągnąłem swój wykrzyknik – a dlaczego tę książeczkę sobie wybrałeś?

Spodziewałem się jakiegoś, zrozumiałego w tych warunkach banalnego zwrotu, typu: ,,a tak!'' albo ,,bo mi się to podoba'', gdy tymczasem usłyszałem:

– A bo ja bardziej lubię kolor zielony i biały!...

Masz, babo, placek! – przeszło mi przez głowę – odezwał się w nim duch obu ludowców – bo i jego pradziadek po kądzieli w swoim czasie kandydował na posła z ramienia polskiego stronnictwa ludowego ,,Wyzwolenie''. Jako poseł przepadł w wyborach, ale tradycja tych zdarzeń w rodzinie pozostała.

Marcin tymczasem, nie przeczuwając nawet, że jest bohaterem dnia, utonął w książkach, ściślej: w zamieszczonych w nich ilustracjach, naginając do swych wymagań zaanektowany nawet tomik ,,cioty'' Dorotki. Wyglądał na takiego, co to nic go w otoczeniu nie bawi, nic nie zajmuje, w swoim zajęciu utonął całkowicie.

Złudzenie ,,apteczne''. Musiał tam innymi kierować się zasadami, jakąś podzielnością uwagi dla nas niepojętą, bo w pewnej chwili odezwał się z wyraźną zaczepnością w głosie:

– Wiesz co, dziadek, tyś niepotrzebnie tutaj do nas przyjechał dzisiaj.

–Taaak? – zapytałem modulując odpowiednio głos – a dlaczego?

– Babcia Tereska patrzy na ciebie, dziadek Wacek patrzy na ciebie... a ja to co? – rąbał pokrzywdzony.

Spojrzałem na jego rozżaloną nieco buźkę i szukałem w myśli wyrazów najstosowniejszej w tej chwili i tej sytuacji repliki, gdy spostrzegłem, że Marcin dość szybko przeszedł do innego zajęcia: przysunął sobie drugą książkę – tę z gilem, Dorotki – i znowu utonął w niej, szukając zamieszczonych tam ilustracji.

Czas upływał powoli, wypadki i zdarzenia dzienne nizając się na sznur powszechności odchodziły w przeszłość jedne po drugich. Wnętrze stajni i obory, stodoły i chlewni, maszyny i narzędzia rolnicze, drób i ogołocony sad – oto, co mogliśmy oglądać, na co patrzeć i co podziwiać.

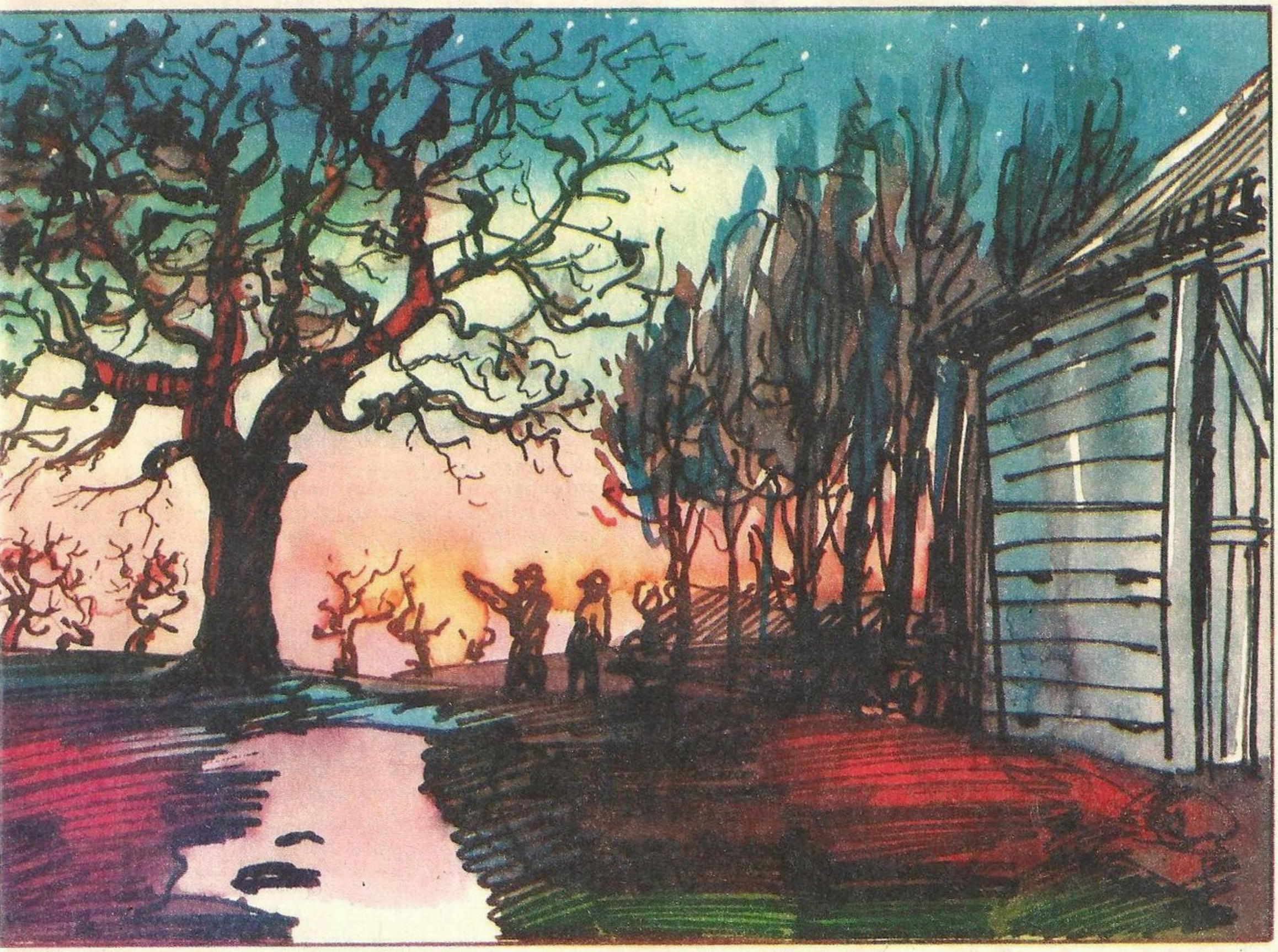

Ilustr. Antoni Chodorowski

Przez cały ten czas zauważyłem jedno, oto prawnuk mój, jak przystało na potomka zamiłowanego turysty, ma świetny apetyt, zmiata z zapałem, co mu tylko w oczy wpadnie: czekoladę, ciastka, kanapki z wędliną, kanapki z serem.

– No, ten nasz wnuk – odezwałem się z aprobatą – apetyt to ma!

– Tak! – przytwierdził mi pan domu – jeść na szczęście je... nie można narzekać... Prawdziwie wsuwa wszystko!

Tu wypowiedziane głośno pochwały pod adresem malca wyzwoliły w świadomości jego jakieś wspomnienia, bo odezwał się na całą izbę:

– A dziadek Wacek mówił, że jak ty do nas przyjedziesz z Warszawy, to on coś dla ciebie ma!

Na takie dictum Marcinka odezwał się pan domu:

– Marcinek... tsst! – i przytknął palec do ust.

Marcinek się konspiracyjnie uśmiechnął, przymknął szelmowsko oczki i znowu zaczął bobrować w przyniesionych mu tomikach.

Przy tym jadł – jadł prawie bez przerwy. Nic więc dziwnego, że kiedy przyszło do obiadu, na który złożył się tradycyjny w warunkach wiejskich rosół z kury i kura – Marcinek opchany słodyczami i kanapkami wyraźnie zepsuł swoją opinię dobrego konsumenta godnego pochwały. Nie chciał jeść: ani rosołu, ani kury.

Sprawę wziąłem w swoje ręce – rzuciłem własny autorytet na szalę wypadków rodzinno-domowych.

– Marcinek – rzekłem tonem, którym wyraźnie dałem poznać, że mówi nie byle kto. – Będziemy się ścigali przy jedzeniu. Kto pierwszy zje! Dobrze?

– Dobrze!... – zgodził się z podejrzaną nonszalancją mój prawnuk.

Zaczęliśmy jeść. Muszę się przyznać, że natura komponując mój organizm nie kierowała się rygorami perwersji, odwrotnie: ukształtowała mnie według dewizy – co na polu, to nieprzyjaciel. Po upływie kilku sekund osiągnąłem metę i ze zrozumiałym poczuciem wyższości zwróciłem się w stronę mego kontrahenta, prezentując talerz:

– Widzisz, Marcinek, pradziadek już zjadł.

A na to mój prawnuk, który zalegał pole – spojrzał i mówi:

– A nieprawda... nie zjadłeś wszystkiego... bo kwiatki zostały!

I zaraz potem, jakby korzystając z faktu, że uwaga wszystkich skupiła się na jego osobie, wrócił do nurtującej go od dawna myśli:

– A ja wiem, że dziadek Wacek coś dla ciebie ma!... – i patrzy na mnie w sposób skończenie prowokujący.

– Marcinek, psst! – poskromił go dziadek Wacek.

Po obiedzie znowu zajęcia ściśle „intelektualne": podziwianie bohomazów, czyli arcydzieł plastyki prawnuka, wypowiadającego się rysunkiem i barwą. Podziw brał, jak taki szkrab atakował bezceremonialnie najtrudniejsze tematy: na ślizgawce, lepienie bałwana, samolot w górze, samochód koło domu, mamusia gotuje, dziadek prowadzi konie. Inna rzecz, że każdy taki kolorowy rebus wymagał komentarza, ale to dla nas, profanów, twórcy zaś wystarczyło jedno spojrzenie i już był w środku zagadnienia...

W rachunkach Marcinek przypominał cokolwiek swojego pradziadka. Liczyć kolejno umiał tylko do trzech, a po nich strzelał:

– ...siedem, dziewięć, pięć...

Zaintrygowany, nawiązałem z nim rozmowę obszerniejszą:

– Kto mieszka koło twojego domu z jednej i drugiej strony?

– Z jednej strony mieszka pan Matuszewski, a z drugiej pan Żakieta... – odpowiedział bezbłędnie, bo grający rolę ochotniczego arbitra dziadek Wacek potakująco skinął głową.

– A konie dziadek Wacek ma?

– Ma.

– Ile?

– Dwa.

– A jakie?

– Jeden kasztan, a drugi gniady.

– A krowy ma?

– Ma.

– Ile?

– Dużo – poradził sobie.

– A jakie to są krowy?

– Czarne i białe.

– A ile krowa ma nóg?

Myślałem: jeżeli Marcin umie liczyć kolejno tylko do trzech, to jak on sobie poradzi z tym progiem? W moim pytaniu czaiła się ordynarna pułapka! Okazało się jednak, że geniusz objawia się w rzeczach najprostszych!

Marcinek odpowiedział prawie bez namysłu:

– Dwie z tyłu i dwie z przodu...

Cudownie. Wspaniale. Pradziadek musiał ucałować wnuka.

W dalszym programie dnia przyszedł mrugający ekran, którego Marcin jest entuzjastycznym wielbicielem. Patrzy i patrzy na wszystko ciurkiem od popołudniowego włączenia prądu do Bolka i Lolka na „dobranoc".

Spać poszedł bez trudności i oporów. Kiedy go żegnałem rozebranego w łóżeczku, objął mnie rączkami za szyję, ucałował w policzek i wyrzekł tajemniczym półgłosem:

– A nie zapomnij, że dziadek Wacek ma ci coś powiedzieć!

Te jego upominania stały się powracającym wciąż motywem całego dnia rozmów. Jaki to bęben okazał się uparty. Jeszcze w ostatnim momencie musiał mnie upomnieć, a jednocześnie dochował tajemnicy.

Tuż przed snem wyszliśmy z dziadkiem Wackiem na dwór „porachować gwiazdy", a gdy znaleźliśmy się w podwórku między jego „bosymi" maszynami, mój kompan zabrał głos:

– No, tatuśku, idziemy teraz wyjawić tajemnicę Marcina... Proszę za mną! I musimy iść jak najspokojniej!

Wyszedłszy za stodołę znaleźliśmy się przed rzadkim, starym, ale dość rozległym sadem. Drzewa stały niepokojąco martwe, tylko powiew wiatru chodząc gdzieś po wierzchołkach szumiał cokolwiek gałązkami. Czarność pni potęgowała posępność zimowej, bezśnieżnej nocy. Posuwaliśmy się razem tuż przy ścianie drewnianej stodoły, ostrożnie stawiając stopy na przegniłej słomie podłoża. Nareszcie znaleźliśmy się przy węgle budynku i, wychyleni nieco do przodu, patrzyliśmy przed siebie. Niedaleko nas stało wiekowe drzewo gruszy o imponująco rozrosłej koronie, bogate w konary i gałęzie. A na niej niby „gruszki na wierzbie" majaczyły czarne grudy, tak na oko ze trzydzieści punktów rozsypanych w nieładzie po całej koronie gruszy.

– Co to? – wyszeptałem, spodziewając się co, ale chciałem potwierdzenia.

– Bażanty... – wyszeptał mój towarzysz – cały dzień żerują po okolicy, ale na noc dzień w dzień od jesieni tu się garną.

Popatrzyliśmy chwil kilka na ciekawe zjawisko „fraternizacji" bażantów z człowiekiem i chcieliśmy się ostrożnie i dyskretnie wycofać z zasadzki, ale czujne ptaki nie dały się podejść. Zerwały się razem jak na komendę, tłukąc głośno skrzydłami po gałęziach gruszy, a potem roztopiły się w sinawym mroku przedzimia wypełniającym cały świat naokoło.

Teodor Goździkiewicz

DZIADKOWIE

Dziadek zadumał się
za szkłem okularów,
w dal gdzieś patrzy
nad stołem.

Babcia
na grubej tarce trze jabłka,
pachnąca cała wilgotnie
jabłecznym sokiem.

Potem dziadek opowiada
o wojnie,
babcia podsuwa miseczkę.
– Jedz, wnusiu, na zdrowie,
a ty, stary, nie strasz
dziecka...

Marzena Dąbrowa

Ilustr. Tomek Sarnecki

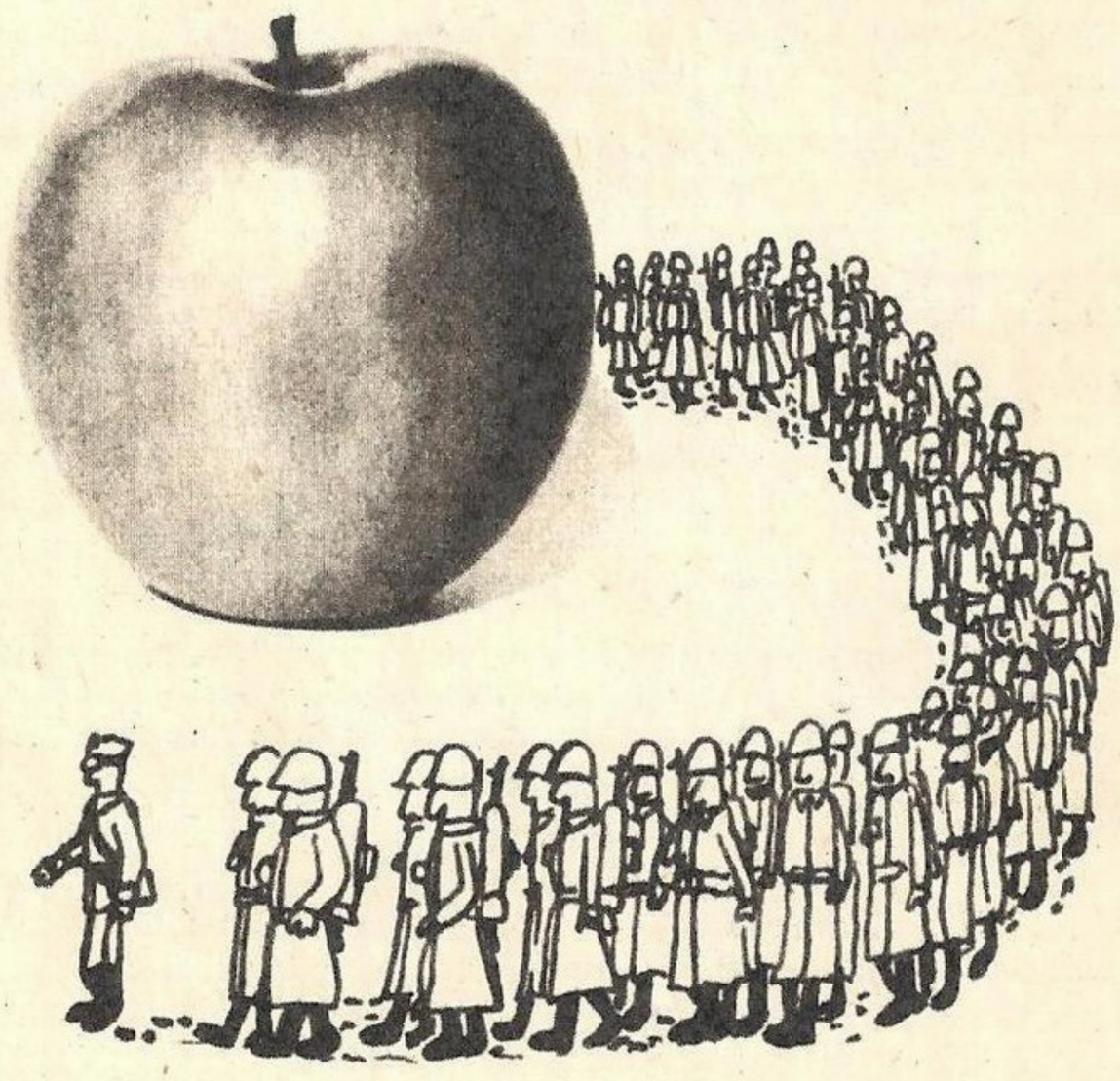

Z notatnika nieharcerki

Wcale nie chciałam jechać na to zimowisko. Z harcerzami? Ale Gośka, która miała być komendantką, namawiała: „No, pojedź, pojedź. Warto spróbować".

No, niby warto, w końcu czemu nie? Pobędę z pięć dni, pooddycham świeżym powietrzem, zobaczę śnieg i wrócę. Co mi tam harcerze...

Wtorek

Bez entuzjazmu i raczej ze sceptycznym uśmiechem idę na zbiórkę. W Hufcu rząd równo ustawionych pod ścianą plecaków, sanki, narty... Między to wszystko wciśnięta niedbale gitara – jedyny optymistyczny akcent – przynajmniej będę mogła pośpiewać.

Ludzi jakby wymiotło – przy drzwiach stoją tylko trzy dziewczyny – zagadane, ale na wesołe nie wyglądają. Uff, i ja mam w takim towarzystwie wytrzymać.

Już na miejscu w Zegiestowie, przydział pokoi. Ląduję akurat z tymi trzema zagadanymi dziewczynami z hufca. Gośka rekomenduje mnię niezbyt zachęcająco.

– To jest dziewczyna mało że niezrzeszona, to jeszcze antyharcerka. Zostawiam ją wam, i zróbcie z niej człowieka. Polecam ją waszym instruktorskim umiejętnościom.

Aha, instruktorki. Nie wiedziałam, że TAK wygląda instruktor...

Na pierwszy kominek wychodzę z własnej woli – warto usłyszeć, kto jest kto. Zapowiedziano właśnie program – „kilka zdań o sobie".

– Ja? No, dobrze, niech będzie.

Właściwie nigdy nie byłam harcerką. Kiedyś, w I czy II klasie poszłam na jedną zbiórkę zuchową. Krzyknęliśmy „Zuchy, czuj!" i koniec. Nie, nie to, że nudne, dla takiego smarkacza nawet „zuchy, czuj" może być zabawne, ale tak się jakoś potem – rozpłynęło.

Środa

Harcerstwo musi wciągać. Moje druhny instruktorki są po kursach, nie rozstają się z harcerskimi książeczkami, np. „Gry i zabawy zuchowe". Twierdzą, że „zuchy, czuj" może być do czasu zabawne, a potem trzeba „smarkaczowi" zaproponować coś nowego, potem znowu coś nowego itd. Taki „smarkacz" nie może się nudzić, bo gdy się znudzi, to odejdzie. A jak nie odejdzie, to i tak samo „zuchy, czuj" efektów wychowawczych nie da.

Po obiedzie układamy program na kominek. Króciutki, żeby się tylko przedstawić. No, to tak: piosenka „Burza piaskowa", skecz, okrzyk. Gotowe.

– A co ty, nie idziesz?!

– No, tak mi się jakoś nie bardzo chce...

– Oszalałaś? Nie będziesz tu gniła sama.

W ostatniej chwili wślizguję się na salę – kominek już zapalony, nastrój taki trochę inny niż zwykle. Wzięłam z sobą notatnik, dzierżę go dzielnie pod pachą, czekając w napięciu na coś do zanotowania. Zaczęło się. Nie mogę nadążyć z pisaniem, pech chce – kończy mi się długopis. Staram się notować w pamięci, co tylko się da.

Prezentują obrzędowość – piosenka, okrzyk, przyjęcie do grupy. Ot, „Eskimosi" na przykład – na znak przyjaźni pocierają się nosami według starego eskimoskiego zwyczaju. Albo „Sopelki" – na kartonowych emblematach wypisują na wyścigi swoje imię – tak się odbywa sprawdzanie listy.

– Prosimy druhnę Marysię do naszego pląsu „Pingwin".

Druhna Marysia, choć nie zuch już, jakby nie było, pląsa na równi z przyszłymi instruktorami.

„Ach, jak przyjemnie i jak wesoło pingwina tańczy się, się, się..."

Nie umiem pląsać, szkoda. Resztką wkładu skrobię jeszcze po papierze, usiłując notować na gorąco. Fajnie wygląda harcerskie życie od wewnątrz, nie żałuję, że mam okazję je podpatrzyć.

Gawęda. „Ludzi łączy to, co ich odróżnia od innych" – powiada Małgorzata, a ja myślę, że naprawdę dobrze byłoby mieć na sobie szary mundur. Bo „Ludzi łączy to...

– Wiążemy krąg.

Owszem, staję w kręgu, tak, wiem już, że „z prawa na lewo" nie odwrotnie. Dla niepoznaki poruszam ustami, nie znam piosenki.

„Hej, pódźmy spać, pódźmy spać, bo już czas..."

Piątek

Moje druhny instruktorki uparcie się dokształcają – metodyka, psychologia, pedagogika... Dawno połknęły harcerskiego bakcyla, ale nie tępią niezrzeszonej.

– Ja myślę, że to jest właściwa postawa – nie podoba się komuś harcerstwo, to nie należy. Gorzej, gdy wkłada się mundur, sarka, nic nie robi i łapie punkty na uczelnię.

Dyskusje – zażarte, ciągłe. Lepiej wychowywać tak. Nie, inaczej! I nieoczekiwanie: – Byłyście na „Balladynie" w Bagateli? Zaskakująca scenografia. Jakie wrażenia? Czytałaś? Ogląda-

łaś? Jak myślisz? Dobre? – I znowu: – Kiedy znajdę się w obcej grupie i widzę, że ta grupa sobie nie bardzo może dać radę, to natychmiast budzi się we mnie instynkt kierowniczy. Nie cierpię, gdy mi się coś rozłazi. Zbyt długo już „kieruję" – to wchodzi z czasem w krew,

Są śmiałe, zaradne, sprawdzają się w różnych sytuacjach. ZHP uczy wierzyć w siebie, a wobec tego jest niezłym lekiem dla nieśmiałych i samotnych. Ewa, jak twierdzi, też była kiedyś bardzo nieśmiała, teraz nie ma problemu z zagadaniem do kogoś czy zaaklimatyzowaniem się w nowym środowisku.

Sobota

Zwiad terenowy. Uczestnicy szukają wszystkiego, co można by zaprezentować na kominku – tradycja, stroje, pieśni, stare sprzęty domowe (któryś z zastępów „wywęszył" gdzieś stareńki kołowrotek, przywalony piętnastoma workami), współczesność, turystyka i wypoczynek, nowe domy wczasowe, organizacja kwater... Wszystko ich interesuje – fotografują, notują, zapamiętują, szkicują. Ludzie początkowo nie bardzo chcą mówić, powiadają: „Jak ja się urodził, to jus syćku było jak za mojej matki". Harcerze przełamują lody, może z myślą o starej zasadzie Witkowskiego: „Dużo wiedzieć jest rzeczą piękną, ale nierównie ważniejsze jest umieć dowiedzieć się czegoś".

Na kominku – szkoleniowa zbiórka. W roli zuchów – cały obóz, prowadzi jeden z zastępów. Zbiórka poświęcona zdobywaniu sprawności „Janosika".

Tradycyjnie – najpierw pląs. Skusiłam się – będę notować w ułamkach wolnych chwil. Dla pląsów – warto być zuchem.

„Idzie zuch, wicher dmucha i do tyłu..."

Próba odwagi. Bogdan ruchem lunatyka wysuwa przed siebie ręce, klucząc między krzesłami. Bezkolizyjnie przechodzi druhna komendantka – zuch nr 1. Za nimi inni. Koniec „wyprawy nocnej", zuchy spisały się świetnie.

I jeszcze – próba spostrzegawczości: druh Zenek nie może natrafić na talarek („Jak to miło i wesoło, gdy talarek chodzi w koło..."), Basia też ma trudności – w końcu wspólnymi siłami i z tej próby wychodzą zwycięsko. Dostaną więc sprawność „Janosika".

Przy zgaszonym świetle zbiera się „Rada Starszych" z ciupagami, siada w kręgu, na środku palą się dwie świeczki, rzucając na sufit cienie ciupag.

– Przyjmujemy do naszej gromady zucha Basię i nadajemy jej imię Maryna znad Potoka.

Wtorek

Kulig. Sanie już czekają przed budynkiem. Po dwóch dniach odwilży lekki mróz, sypie śnieg, jest biało i puchato. Miło. Śpiewamy. Wesoło. Zatrzymujemy się na polanie, będzie bitwa. Śnieg lepi się świetnie, taki trochę wilgotny, kule sypią się z każdej strony. Przemoczone spodnie, przemoczone kurtki. No, to – buch! do śniegu, póki jest taki głęboki i miękki. Wracamy do sań. Droga z powrotem wydaje się dwa razy krótsza. A szkoda.

Czwartek

Najgorętszy dzień kursu – zaliczenie.

– Boże, przed klasówką tak się nie boję, jak teraz. W życiu się tyle nie uczyłam.

– Muszę zaliczyć! – powtarza każdy. Gorączka jak przed egzaminem. Zdają. Jedni lepiej, inni gorzej. Zaliczenie dostali wszyscy. Na ile zdali – dowiedzą się już na zbiórce po przyjeździe.

Piątek

Bieg patrolowy. Uzbrajam się w aparat i film do wymiany, wciskam na uszy czapkę i z przedostatnim patrolem wyruszam na trasę. Fotografie: sygnalizacja, Teresa i Ewa na punkcie, przerażone miny, nawet ściąga z Morse'a na pasku. Uff, dobrze, że sama nie muszę tego zaliczać. Pod czapką Joli zakładam nowy film – żeby tylko nie prześwietlić tamtego, uwaga... Dobra, już. No, to dalej na trasę! Szlak już przetarty, ślisko.

– Wiecie co? Fajnie, że nie wyjechałam po pięciu dniach, szkoda by było.

– Miałaś w ogóle odwagę myśleć o wyjeździe? Akurat byśmy ci dały. Jeszcze na alarm z nami pójdziesz.

– O, nie, co to, to nie – mówię, ale bez większego przekonania.

Wieczorem, po kolacji, snujemy się po korytarzach. Komenda zagania do łóżek – coś się kroi. I nagle – gwizdek.

– Druhu, druhu, czy to... alarm mundurowy?

– A co?

Nagle ląduję na poręczy, potem ktoś w impecie rozgniata mnie na ścianie. Sam smak alarmu. Iść? Nie iść? Niezdecydowanie kręcę się po pokoju.

– A ty na co czekasz? Ubieraj się. Szybko!

– Ale będziesz mnie ciągnąć pod górę, zobaczysz – zastrzegam się, znając śliskość swoich butów.

– No, to będę.

Śnieg po kolana, z góry sypie, „droga" stromo pod górkę, potem prosto, prosto z górki...

Ciemność, las. Nagle szeroka panorama, pociąg już po czeskiej stronie, ujadanie psów na wsi. Polanka. Zapalenie choinki, krąg.

– Druhowie do przyrzeczenia, wystąp!

Trzech druhów ustawia się w szeregu. Cisza jak makiem posiał. I w tej ciszy głos druhny komendantki:

– Czy chcecie złożyć przyrzeczenie harcerskie?

Bogdan, Piotr i Maciek powtarzają wyraźnie słowa przyrzeczenia. Potem jeszcze pieśń, za nią następna i jeszcze inna...

„Po latach, które przeminą,
Harcerski zostanie krzyż..."

W tym momencie i niezrzeszona miała ochotę uronić łezkę, ale pomyślała, że skoro wyzbywszy się wszelkiego mazgajstwa wyszła na alarm, to i wzruszać do łez się jej nie wypada.

Małgorzata rozpoczęła gawędę.

„...w szeregach często znajduje się miłość, często przyjaźń, czego i wam gorąco życzę. Żebyście pielęgnowali w sobie tę miłość do mokrych butów, przemoczonych kurtek, żebyście umieli zaszczepić ją innym. Miejcie zawsze tyle fantazji, ile jej jest w młodej głowie. Bo fantazję zawsze trzeba mieć. I tego też wam życzę..."

Wracamy znowu w śniegu po kolana, z mokrymi włosami, w mokrych butach, do których miłość i we mnie chyba Małgorzata zaszczepiła.

Sobota

Ostatni bieg po pokojach.

– Podpisz się, wpisz się, napisz.

Koniecznie trzeba mieć 41 autografów, większość z dedykacją. Nikt się bez tego nie ruszy. Sprzątanie w pokojach. Wreszcie wszystko gotowe. I autobus już jest. San. Jak wejdą do niego 42 osoby i plecaki, sanki, sprzęt?

– To potrafią tylko harcerze – powiada Ewa, gdy z piosenką na ustach w zatłoczonym autobusie ruszamy w drogę powrotną. Jedziemy, choć żal odjeżdżać.

Fot. Janusz Nalewajski *Marzena Dąbrowa*

CHŁOPIEC, KTÓRY CZYTAŁ PASCALA

Napisała Małgorzata Musierowicz

Ilustr. Wanda Orlińska

Baśka zobaczyła go ponownie w dwa tygodnie po tamtym przypadkowym spotkaniu. Ferie już się zaczęły. Wbrew jej najgorszym przeczuciom, śnieg jednak sypnął i świat zaraz się odmienił. Słońce przechodziło po jaskrawym niebie jak potężny reflektor, śnieg miotał oślepiające błyski, a mroźny wiatr wyganiał spaliny z ulicznych wąwozów.

Baśka była z bratem w kinie, na „Dwunastu pracach Asterixa". Teraz wracali do domu. Piotrek biegł przodem, wskakując z rozmachem w co większe zaspy, a Baśka, pod pretekstem pogoni, robiła dokładnie to samo. Chociaż ona miała lat piętnaście, a on dopiero siedem, oboje bawili się tak samo dobrze – bardzo zresztą podobni do siebie, rumiani, czarnoocy, w czerwonych czapkach z pomponami i szalikach w biało-czerwone pasy.

Tak dobiegli do toru saneczkowego. Było tam już tłoczno i wrzaskliwie. Górka była dość stroma, pokryta ubitą warstwą śniegu, na całej długości zjazdu wyślizgana przez dzieci z okolicznych podwórek. Baśka wzięła rozbieg i z rozwianym włosem z fruwającym szalikiem pojechała po długiej, szklistej wstędze – machając rękami, łapiąc z trudem równowagę, chichocząc i wydając przerażone piski. W połowie ślizgawki zobaczyła wprost przed sobą, u podnóża górki, kulejącą sylwetkę chłopca z nogą uwięzioną w aparacie ortopedycznym.

To był on!

Poznała go natychmiast, chociaż jeszcze nie widziała dokładnie jego twarzy. Zanim zdążyła się zastanowić, co zrobi – gładki lód zaniósł ją o parę metrów dalej, a potem uciekł nagle spod obcasów. Baśka zachwiała się, upadła, pojechała jeszcze kawałek na siedzeniu, wreszcie wylądowała boleśnie u podnóża toru. Kiedy otworzyła zaciśnięte mocno powieki, ujrzała przed sobą miłą, szczupłą twarz o podłużnych oczach. Chłopak pochylał się i patrzał z troską.

– Nic ci się nie stało? – usłyszała pytanie.

– Uwaga! – wrzasnął głosik za jej plecami. Chłopak silnie chwycił Baśkę za łokieć i pomógł jej wstać. W tej samej chwili śmignęły obok nich rozpędzone sanki pełne piszczącego drobiazgu, błys-

nęła promieniejąca buzia Piotrka, który wpakował się na czwartego. Sanki zarzuciły i utknęły w zaspie, a uszczęśliwiony śmiech dzieciaków wytrysnął z niej jak fontanna.

– Zawsze, kiedy cię spotykam, masz jakieś kłopoty – powiedział chłopak i uśmiechnął się kpiąco. – No, jak, nie potłukłaś się?

Baśka poczuła, że gwałtownie się czerwieni. Okropne! Okropne! Los złośliwie wmanewrował ją w sytuację jeszcze głupszą niż poprzednim razem.

– Nic mi nie jest – odparła sucho i wyniośle, z trudem opanowując chęć rozmasowania obolałego miejsca.

– Wydawało mi się, że potężnie się rąbnęłaś – powiedział z taką miną, jakby dokładnie wiedział, co Baśkę boli. Oczy mu się śmiały.

– Nie!

– Jak się złościsz, to masz oczy Gorgony.

– Czyje oczy?

– Nie wiesz, kto to Gorgona?

– Pewnie, że wiem.

– Pewnie, że nie wiesz – skonstatował kpiąco. – Miała włosy uwite z węży, a jej oczy sprawiały, że kto na nią spojrzał, obracał się w kamień. Perseusz obciął jej głowę.

– No, no. I nie zamienił się w kamień?

– Nie. Bo odwrócił się tyłem i patrzał tylko na jej odbicie w swojej miedzianej tarczy.

– Co też ty powiesz? Erudyta z ciebie.

– Uważaj, bo sanki znów zjeżdżają. Ten mały pyzaty to twój brat?

– Uhm.

– Podobny. Jak ma na imię?

– Piotrek.

– A ty? – spytał chłopak jakby mimochodem, odwracając oczy.

– Co ja? – burknęła Baśka, wciąż zła.

– Jak ty masz na imię?

– Barbara – padła niechętna odpowiedź.

Chwila ciszy. Chłopak patrzał w górę, na tor saneczkowy, i zdawał się myśleć o czym innym.

– Lubię przyglądać się dzieciakom, jak tak zjeżdżają – powiedział nagle. – No, to cześć! Pójdę już, bo mi nogi marzną. Zwłaszcza ta kulawa.

Baśka drgnęła i poczerwieniała z zakłopotania jeszcze bardziej.

– Zresztą możliwe, że właśnie zamienia się w kamień – kpiący uśmiech wykrzywił szczupłą twarz. – Cześć! Nie ślizgaj się już więcej, bo odchodzę – odwrócił się i pokuśtykał po śniegu w stronę chodnika.

Baśka stała bez ruchu i czuła, jak gorąco powoli spływa z jej policzków. – „Jaki on dziwny!" – pomyślała. – „Kpi ze wszystkiego, nawet ze swojego kalectwa. Dlaczego?"

Nagle zrozumiała, dlaczego. Patrzała za nim, jak odchodzi kołysząc się na boki, i czuła, że serce jej się ściska z żalu i podziwu dla jego dzielności. On się bał być śmieszny. Bał się wzbudzać litość.

– Hej! – krzyknęła i pobiegła za nim ile sił.

Zatrzymał się. Spojrzał w jej stronę, a twarz miał całkiem nieruchomą.

wokół nastolatków

wokół nastolatków

Baśka dopadła go, dysząc w mroźne powietrze kłębami pary.

– Ja... jeszcze ci nie podziękowałam – wykrztusiła.

Nic nie powiedział.

– Słuchaj... jak masz na imię? – spytała Baśka i z nagłą radością ujrzała jego uśmiech.

– Aleksander – powiedział. – Olek.

– A co właściwie stało ci się w tę nogę? – spytała Baśka, przerażona tym, co mówi. A jednocześnie czuła, że nie popełnia błędu. To pytanie trzeba było postawić. Olek nie był z tych, których się oszukuje. Nad nim naprawdę nie wolno było się litować.

– To pamiątka po Heine – odparł krótko, z uważnym spojrzeniem.

– Rzeczywiście zmarzły ci nogi?

– Bo co?

– Bo mnie ciekawi, co było z tą Gorgoną. Jakbyś jeszcze trochę został, to mógłbyś mi opowiedzieć.

– A tak naprawdę to o co chodzi? – spytał spokojnie.

– A tak naprawdę – powiedziała Baśka. – Tak naprawdę, to cię po prostu lubię.

I odwróciła szybko wzrok, bo on na pewno by nie chciał, żeby ujrzała na jego twarzy wzruszenie.

AWICENNA –WIELKI MĘDRZEC WSCHODU

W tym roku cały świat będzie obchodzić tysiąclecie urodzin Ibn Siny, w Europie znanego bardziej pod imieniem Awicenny. Będzie obchodzić po raz drugi, bowiem przeszło ćwierć wieku temu odbywały się już z tej okazji uroczystości i zebrania naukowe. Kim był człowiek, któremu po dziesięciu wiekach poświęca się tak wiele uwagi i którego darzy się tak wielkim szacunkiem? I dlaczego okrągłą rocznicę związaną z jego postacią czci się aż dwakroć w dość znacznym odstępie czasu?

Zagadka ta nie jest trudna do wyjaśnienia. Ibn Sina, jak nietrudno się domyślić, żył w świecie islamu; kalendarz zaś muzułmański (podobnie zresztą jak i inne kalendarze, np. kalendarz żydowski) oparty jest na roku księżycowym, o 11 dni krótszym od słonecznego. 32 latom słonecznym odpowiadają 33 lata księżycowe i stąd wynika w ciągu tysiąclecia różnica ok. 30 lat.

Ibn Sina urodził się w Afszanie, wiosce położonej w odległości 12 kilometrów od Buchary, ważnego już wówczas ośrodka handlowego w Azji Środkowej. (Dzisiaj jest to blisko stutysięczne miasto w Uzbeckiej SRR).

Przenieśmy się myślą do Buchary w końcowych latach X stulecia naszej ery – do czasów, kiedy mieszkał tam wraz z rodzicami i uczył się Ibn Sina. Było to miasto tętniące życiem, ze wspaniałymi, pięknie wyłożonymi mozaiką budynkami. Na ulicach kręcili się nie tylko stali mieszkańcy tego grodu, ale i kupcy zjeżdżający tu nawet z odległych krain: z Egiptu, Indii, z Rusi. Na bazarze przyciągały wzrok tkaniny bawełniane i jedwabne, garnki i różnorodna ceramika, wyroby ze skóry, pięknie inkrustowane szable i noże. Sprzedawcy głośno zachwalali swój towar, a z przylegających do bazaru uliczek dochodziły postukiwania młotków, którymi właściciele małych warsztacików wykle-pywali miedziane naczynia. Powoli i dostojnie kroczyły wielbłądy należące do przejeżdżających karawan, za każdym krokiem podzwaniały zawieszonymi na szyjach dzwonkami. I właśnie wśród tego barwnego i hałaśliwego tłumu kręcili się kilku – i kilkunastoletni chłopcy. Bywał tu z pewnością również Ibn Sina. Dla niego jednak najciekawszymi z wystawionych na sprzedaż przedmiotów były – książki (w rękopisach oczywiście), które można tu było nabyć.

Ibn Sina bowiem zachęcany do tego przez ojca, uczył się od wczesnego dzieciństwa. Jako dziesięcioletni chłopiec znał już Koran (święta księga muzułmanów) i literaturę; następnie zajął się filozofią, geometrią, rachunkami, prawem, logiką. Był przy tym chłopcem niezwykle utalentowanym. „Jaki by tylko problem wysuwał nauczyciel, lepiej od niego samego wnikałem w sens tego problemu" – napisał w swojej autobiografii, która dochowała się do naszych czasów.

Był chłopcem nie tylko utalentowanym, ale i pracowitym. „Nie sypiałem przez całe noce, nie spoczywałem przez całe dnie i nie zajmowałem się niczym oprócz pracy umysłowej. Jeśli morzył mnie sen lub dawało się we znaki zmęczenie, wypijałem szklankę czystego wina, aby przywróciło głowie świeżość i ciału siły, potem zaś brałem się do czytania i pisania. Jeśli zaś później zasypiałem na chwilę, to we śnie stykałem się z tymi samymi problemami naukowymi – i często się zdarzało, że we śnie opadała zasłona skrywająca przede mną trudne problemy i udawało mi się je rozwiązać. Tak pracowałem, dopóki nie opanowałem podstaw nauki i nie odsłoniły się przede mną jej tajemnice".

Nic dziwnego, że kiedy Ibn Sina zajął się medycyną „...w krótkim czasie sztuka moja w tej dziedzinie osiągnęła taki poziom, iż wielu z najznakomitszych lekarzy tego okresu zasięgało moich rad". Trzeba dodać, że słowa te odnosiły się nie tylko do wiedzy teoretycznej Ibn Siny, lecz także do jego doświadczenia w tej dziedzinie – albowiem z powodzeniem zajmował się on praktyką lekarską. A miał wtedy zaledwie szesnaście lat! Jak sam napisał, do osiemnastego roku życia poznał wszystko, co obejmowała ówczesna wiedza; później jedynie samodzielnie tę wiedzę pogłębiał.

Znakomity lekarz

Jakkolwiek zakres zainteresowań i prac Ibn Siny obejmował tak różnorodne dziedziny, jak literatura i filozofia, nauki ścisłe, pedagogika i medycyna – zasłynął przede wszystkim właśnie jako znakomity lekarz, autor dzieła „Kanon medycyny", które to dzieło w licznych wydaniach i przekładach na wiele języków zaćmiło najznakomitsze księgi medyczne uczonych europejskich i przez wieki całe było najpoważniejszym źródłem wiedzy medycznej. Dość powiedzieć, że „Kanon", ukończony przez Ibn Sinę w roku 1019, jeszcze w drugiej połowie XVII wieku był podstawowym podręcznikiem w najznakomitszych ówczesnych uniwersytetach europejskich. Zadziwiające, nieprawdaż?

Aby wyjaśnić sobie tę tajemnicę, musimy sięgnąć pamięcią do wielkiego cesarstwa bizantyjskiego, które powstało w IV w. n.e. i istniało przeszło tysiąc lat. Wskutek prześladowań religijnych wyjechało z tego cesarstwa wielu przedstawicieli nauki. Znaleźli oni schronienie w Iranie, którego szachowie z dynastii Samanidów, konkurując o wpływy z władcami Bizancjum, popierali jego przeciwników. Tak też doszło do utworzenia na terenie Iranu ważnych ośrodków naukowych, w których pracowali i wykładali uczeni z zamkniętej przez cesarza bizantyjskiego Justyniana Akademii w Atenach. W ten też sposób osiągnięcia uczonych greckich i rzymskich – zwłaszcza ich dorobek w zakresie medycyny – dotarły na Środkowy Wschód. Ibn Sina przejął je, porównał z własnymi obserwacjami i wzbogacił swoimi doświadczeniami; nic więc dziwnego, że jego „Kanon" stanowił uogólnienie ówczesnej wiedzy medycznej, wspartej bogatą praktyką lekarską samego autora.

Nawet nasza XX-wieczna, znacznie przecież rozleglejsza wiedza w tej dziedzinie, w wielu przypadkach uznaje diagnozy (rozpoznania lekarskie) Ibn Siny za trafne, a przepisane przez niego leczenie za racjonalne i uzasadnione.

Przypadki opisane w „Kanonie" świadczą także o tym, iż Ibn Sina doceniał ogromną rolę, jaką dla zdrowia człowieka odgrywa jego stan psychiczny. Zdarzyło się, że sułtan imieniem Kabus zawezwał Ibn Sinę, ponieważ bratanek sułtana ciężko zachorował. Ibn Sina zobaczył wychudłego, wyczerpanego młodzieńca. Zbadał go, a następnie – ku zdziwieniu wszystkich obecnych – kazał przyprowadzić sobie człowieka doskonale znającego wszystkie ulice miasta. Dotykając pulsu chorego, Ibn Sina polecił przybyszowi wymieniać na głos po kolei nazwy ulic; przy jednej z nich zauważył, że tętno chorego uległo wyraźnemu przyspieszeniu. Zażądał więc, aby przewodnik wymieniał kolejno wszystkie domy położone przy tej ulicy; i znów w pewnej chwili stwierdził, iż tętno pacjenta uległo zmianie. Teraz kazał wymieniać wszystkie osoby, które mieszkały pod tym adresem – i wkrótce wykrył przyczynę ciężkiego rozstroju nerwowego, na który cierpiał bratanek sułtana. Oto w domu tym mieszkała dziewczyna, w której chłopiec był bez pamięci zakochany. Ibn Sina przekonał sułtana, iż powinien młodej parze pozwolić na ślub – i rzeczywiście, usuwając przyczynę choro-

by, uzdrowił młodzieńca. Nieco zabawna to historyjka... ale czy nie wystawia jak najlepszego świadectwa lekarzowi, który w chorym widział także, a może przede wszystkim – człowieka?

Niespokojne życie

Powróćmy jednak do okresu, w którym 18-letni Ibn Sina rozpoczyna samodzielną pracę twórczą. Kalendarz wydarzeń historycznych i osobistych tych lat daje się zamknąć w kilku datach: rok 999 – wojska „sąsiąda" Ilekchana zajmują Bucharę. Rok 1002 – umiera ojciec Ibn Siny. Prawdopodobnie w dwa lata później Ibn Sina osiedla się w sąsiednim państewku – Chorezmie. Jego władca sułtan Ali Ibn Mamuna, jest mecenasem nauki i sztuki. Hojnie też wspomaga uczonych i artystów, pozostawiając im swobodę w pracy twórczej. Są wśród nich, oprócz Ibn Siny, inni sławni ludzie tego okresu. Pięć lat spokojnego życia w tym środowisku znaczy dla Ibn Siny wiele. Ale oto znów zakłócają je wydarzenia polityczne. Zdobywca Buchary, sułtan Machmud Gaznawi (którego wasalem jest sułtan Chorezmu) pragnie za wszelką cenę dodać blasku swojemu dworowi. Nakazuje więc Mamunowi skierować do Buchary najznakomitszych intelektualistów Chorezmu – wśród nich także Ibn Sinę. Służba u sułtana Gaznawiego oznacza konieczność ścisłego podporządkowania się surowym i krępującym twórczość nakazom religii muzułmańskiej. Rezygnacja z tej służby to wolność, ale zarazem prześladowania ze strony sułtana. Ibn Sina nie sprzedaje swobody myśli za dobrobyt i bezpieczeństwo: uciека na południe przez piaski groźnej pustyni Kara-Kum.

Od tego momentu zaczęło się dla niego życie wypełnione walką z trudnościami, życie pełne nieustannych ucieczek. W ciągu następnych dwóch lat ciągle zmieniał miejsce pobytu, chroniąc się przed sługami sułtana. Gdziekolwiek się jednak pojawił, wyprzedzała go sława – i natychmiast też zgłaszali się pacjenci i uczniowie. Jednym z tych ostatnich był Dżurdżani, który towarzyszył swojemu mistrzowi do końca życia zapisując jego biografię. Stąd właśnie tak dokładnie wiemy, jak przebiegało życie Awicenny. Sześć lat – od r. 1015 do 1021 – kiedy to uczony przebywał w Hamadanie, przyniosły zakończenie pierwszej (z ogólnej liczby pięciu) księgi „Kanonu". Potem Ibn Sina przebywa przez cztery miesiące w więzieniu (nie przestając pracować), ucieka z niego i udaje się do Isfahanu, gdzie na dworze szacha przebywa przez dziewięć lat.

Wtedy Ibn Sina stał u szczytu sławy. Tłumy pacjentów gromadzących się w jego domu w nadziei na uzyskanie porady sięgały dziennie dwóch tysięcy. Udział uczonego w dyskusjach, jakie prowadzono na dworze szacha, uważano za zaszczyt. A przecież Ibn Sina wciąż intensywnie pracował! Zajmował się obserwacjami astronomicznymi. Dużo pisał – w Isfahanie właśnie zakończył swoje dzieło „Księga uzdrowienia", poświęcone wielu dziedzinom nauki: astronomii i matematyce, chemii i fizyce, botanice i zoologii. Niestety – znów uznano, iż jego poglądy stoją w sprzeczności z Koranem, a zatem, że ich autor jest heretykiem. 55-letni uczony raz jeszcze musiał uciekać.

Organizm wycieńczony, zarówno wytężoną pracą, jak wyrzeczeniami i ucieczkami, nie mógł się już bronić przed chorobą. Wielki lekarz, który przywrócił zdrowie tysiącom ludzi, nie mógł uratować samego siebie. Zmarł 18 czerwca 1037 roku w Hamadanie. Nad jego grobem zbudowano mauzoleum.

Kiedy jeszcze sułtan Machmud Gaznawi nakazał pojmać Ibn Sinę, na polecenie sułtańskie wykonano jakoby szczególny list gończy: namalowano czterdzieści portretów uczonego. Nie zachował się jednak żaden z nich. Przetrwały do naszych czasów inne. Jednakże każdy artysta – od wieków średnich aż do współczesności – tworzył portret Awicenny z własnej wyobraźni. Na każdym z nich uczony wygląda inaczej: jak wędrowny mnich, jak dobroduszny kupiec z Buchary, nawet jak jeden z królów Francji.
A jednak wiemy, jak w rzeczywistości wyglądał Ibn Sina. W r. 1953, z okazji obchodów „pierwszego" tysiąclecia Awicenny, wybudowano w Iranie nowe mauzoleum, do którego z ogromnym pietyzmem przeniesiono prochy uczonego. Podczas tej uroczystości jednemu z irańskich uczonych udało się wykonać dwa zdjęcia fotograficzne kości czaszki Ibn Siny. Istnieje metoda, pozwalająca na odtworzenie wyglądu twarzy na podstawie kości czaszki. Dwa zdjęcia, to niewiele. A jednak wystarczyło, aby odtworzyć to, co wydawałoby się, czas bezpowrotnie zniszczył. Na podstawie anatomicznego opisu, sporządzonego przez członka Akademii Nauk Medycznych ZSRR Ternowskiego, grupa pracowników z instytutu medycznego w Andiżanie (Uzbecka SRR) i grupa artystów sporządziła i odlała z brązu popiersie wielkiego człowieka sprzed tysiąca lat.

Stefan Weinfeld

ZDZISŁAW NOWAK

PERŁY MASUDA UMARKUŁA

Przygody Hodży Nasreddina

Mułła i derwisz pod wspólną chowali się kołdrą. Od nich nigdy słowa prawdy nie usłyszysz. Nawet przyciśnięci do muru, zawsze się jakoś sianem zdołają wykręcić. Tak przynajmniej opowiadają o sługach Allacha siwobrodzi aksakałowie znający doskonale życie.

O przestrogach ludzi doświadczonych zapomniał wielmoża bogatego rodu, Masud Umarkuł, śpieszący co sił w nogach na Most Ściętych Głów, zawieszony ponad bystrymi wodami miejscowego kanału. Tam, pośród zwariowanego tłumu wróżbitów, kuglarzy, magów, tabidów, znachorów, zielarzy, zaklinaczy węży i zamawiaczy najpaskudniejszych choróbsk zwykł urzędować pewien tajemniczy derwisz. Wysuszony, kościsty starowina o duszy równie pomarszczonej, jak i oblicze.

Świętobliwy ów sługa Allacha wiedział wszystko o wszystkich. Wiedział doskonale, kto przybył do miasta, a kto je opuścił. Wiedział, kto trafił do lochów chanowego zindanu, za co i przez kogo został tam wtrącony. Wiedział, kto zginął w mrocznym zaułku przebity nożem lub przeszyty strzałą. Co więcej, często znał imię zabójcy, mimo że w tym samym czasie strażnicy bezradnie dreptali w kółko, nie mogąc natrafić na ślad sprawcy zbrodniczego uczynku. Mułłowie powszedni i uczeni w islamie ulemowie w olbrzymich turbanach, kilkudziesięciu wszędobylskich biegaczy z cechu nosiwodów, a także armia ulicznych żebraków donosiła staremu derwiszowi o najmniejszym wydarzeniu, jakie zrodziło się w pałacu chana, w domach wielmożów, w kantorach kupieckich, a nawet w lepiankach nędzarzy, najbiedniejszych z biednych. Z cegiełek donosów rósł potężny gmach wiedzy derwiszowej.

Jakąż to sprawę nie cierpiącą zwłoki mógł mieć dostojny wielmoża do przywódcy kokandzkich podsłuchiwaczy, nie darmo nazywanego przez ludzi ubogich Wielkim Uchem Kokandu?

Niełatwo odpowiedzieć na to pytanie. Zwłaszcza że rozmowa bogacza ze świętobliwym derwiszem toczyła się w głębokim cieniu rozłożystego platanu, bez zwyczajowych gestów, a jedynie szeptem, nieuchwytnym dla uszu postronnych. Dopiero ostatnie zdania rozdarły nieco zasłonę tajemnicy, ponieważ zabrzmiały odrobinę głośniej. Mówił Masud Umarkuł:

– A teraz, kiedy wiesz, o kogo mi chodzi, odpowiedz szczerze. Czy słyszałeś coś o nieznajomym włóczędze?

– Jeszcześ w polu nie zasiał, panie dostojny, a już chciałbyś plon zbierać – to mówiąc derwisz flegmatycznym ruchem wysunął przed siebie miseczkę ze skorupy orzecha kokosowego.

Umarkuł cisnął miedziaka.

– Z lichego ziarna płodów trudno czekać – odparło półgłosem Wielkie Ucho Kokandu nie cofając miseczki.

Bogacz sięgnął za pas, pogmerał, po czym podał derwiszowi pół srebrnego dirhema.

– Z nasion ogórka szlachetny bakłażan nigdy nie wyrośnie, panie – odezwało się znów Wielkie Ucho Kokandu.

Wielmoża rad nierad wyciągnął całego dirhema. Rzucił derwiszowi.

– Czyżbyś, panie, nie wiedział, że nawet najlepsze ziarno trzeba podlać, by zakiełkowało? – po raz trzeci upomniał się monarcha szpiclów kokandzkich.

Z bólem serca Umarkuł dorzucił kolejną monetę.

– A teraz powiedz, co wiesz o nieznajomym włóczędze, który zdążył już wycyganić od chana Kokandu dwie sakiewki srebra?

– Nic. Na razie nic.

Wielmoży krew uderzyła o powałę czaszki. Z wściekłością porwał czym prędzej monety z miseczki.

– Co czynisz, panie? Gorączka jest kiepskim doradcą, zastanów się wpierw – wrzucił mu w ucho derwisz pochylając się gwałtownie do przodu. – Dobry gospodarz nie zarzyna przecież owcy, której brzuch grubieje.

Bogacz popatrzył nań uważnie, a następnie zwrócił monety i odpowiedział równie cicho:

– Zgoda, daruję ci monety i trzy godziny czasu. Przyniesiesz wiadomość o nieznajomym włóczędze, otrzymasz pękatą sakiewkę. Nie przyniesiesz...

Masud Umarkuł zabulgotał połykając groźbę okrutną.

Derwisz zerwał się, jakby skorpiona ujrzał tuż przy nodze. Pośpiesznie zebrał tajemnicze naczynia z wysuszonych owoców tykwy i rozmaite miseczki nie wiadomo do czego służące. Zwinął dywanik, otrzepał kolana i szybkim krokiem ruszył w kierunku karawanseraju, gdzie przed kilkoma dniami zatrzymały się na dłużej dwie karawany kupców, przybyłe na kokandzkie bazary z Samarkandy i Buchary. Szczwany lis wiedział, iż kto chce zgłębić tajemnicę aromatu szlachetnego wina, powinien udać się wpierw do winnicy.

Tymczasem Masud Umarkuł powracał do domu w wesołym nastroju. Nogi niosły go lekko, niepomne na ciężar siedmiopudowy. Na razie wszystko układało się po jego myśli. Całe miasto wiedziało, że chanowi nie udało się upokorzyć sprytnego włóczęgi. Gdyby więc jemu się powiodło, wdzięczność władcy z pewnością nie będzie mieć granic. Oczyma wyobraźni widział już worek pełen złota albo tabun rączych rumaków, albo stado wytrzymałych wielbłądów, albo siedemnaście niewolnic przecudownej urody. Zrobiło mu się błogo na duszy. W domu natychmiast sięgnął po papier i czernidło. Wystosował pismo nasiąkłe słodyczą i kadzidłem. Następnie posłał sługę z listem do domu garncarza Achmadżana, u którego zatrzymał się wędrowiec.

Hodża Nasreddin nie dał na siebie długo czekać. Przebiegł wzrokiem równe szeregi arabskiego pisma i sięgnął po chałat. Potem, wiedziony przez posłańca, udał się na drugi kraniec miasta, do dzielnicy bogaczy. Na podwórcu domostwa Umarkułowego oczekiwano go już z niecierpliwością.

Pułapka nastawiona przez Masuda Umarkuła była znakomitej konstrukcji.

Przemyślana do najdrobniejszego szczegółu. Dla pojmanej zwierzyny nie będzie szansy ratunku ani jutro, ani za tydzień, ani za miesiąc. Nawet jeśli zwierzyną tą okaże się największy filozof spośród wędrowców przemierzających w tym stuleciu niezbadane szlaki muzułmańskiego świata.

– Zgodnie z tradycją panującą na dworze wielkiego władcy Kokandu i my pra-

gnęlibyśmy rozpocząć dzisiejszy wieczór od dziewięciu pytań – przemówił uroczyście Masud Umarkuł, zaledwie mędrzec pojawił się w progu.

– Nie mam nic przeciwko tradycji, panie – Hodża uśmiechnął się.

Wielmoża sięgnął dyskretnie pod czapan, gdzie miał ukrytą kartkę z przebiegłymi pytaniami, przepisanymi pośpiesznie z dzieł starożytnych mędrców. Zerknął jednym okiem na pismo i otworzył usta:

Ilustr. Jerzy Flisak

– Zastanów się głęboko, gościu mój, zanim słowo zepchniesz z języka, albowiem pierwsza odpowiedź liczyć się będzie. A zatem, co u ludzi starzeje się najszybciej?

– Wdzięczność, panie – odrzekł krótko Hodża.

– No, no, rychło znalazłeś właściwe słowo – kiwnął głową bogacz. – Czy równie szybko odpowiedziałbyś, gdybym zapytał, co to jest prawdziwa wolność?

– Czyste sumienie.

– Myśl twoja na rączym rumaku bieży, przyznaję – wielmoża spojrzał na mędrca ze źle ukrywanym podziwem. – Pora więc na trzecie pytanie. Wiesz, co jest mocniejsze od zemsty?

Hodża Nasreddin wepchnął w usta garść słodkiego kiszmiszu, suszonych rodzynków. Kiedy przegryzł, odpowiedział:

– Przebaczenie.

– Zgoda. A jaka rzecz największa mieści się w najmniejszej?

– Serce szlachetne w człowieczym ciele.

Wielmoża przesunął powoli aksamitną tiubetejkę na tył głowy. Wycedził przez zęby:

– Hm, a kto z ludzi jest najbogatszy na tym świecie?

– Ten, co w życiu na najmniejszym zwykł poprzestawać.

Masud Umarkuł pokiwał znowu głową. Usiłował się nawet uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Nieźle – przyznał. – A jaki pieprz najbardziej pali język?

– Pieprz, któremu na imię tajemnica, panie – mędrzec odpowiedział natychmiast. – Łatwiej jest bowiem utrzymać na języku gorejący węgiel niźli powierzoną tajemnicę.

– Prawda jest najmilszą z rzeczy do słuchania. Znasz może coś jeszcze milszego?

– Tak, panie. Znacznie milsze od słuchania prawdy jest mówienie prawdy.

– Zadziwiasz mnie – wielmoża zerknął na papier i zdenerwował się. Mimo tylu wysiłków, jakoś nic nie zapowiadało, by ten przeklęty przybłęda zwichnął sobie szyję na pytaniach wyszukanych w starożytnych księgach. Ponowił kolejną próbę:

– Czy wiesz, kto jest najbardziej nieszczęśliwy z ludzi?

– Ten, kto nie potrafi znosić własnego nieszczęścia.

Umarkuł z wściekłością zezował na kartkę. Spis pytań dobiegał końca.

– Wylicz – sapnął – które ze zwierząt jest najdziksze?

– W górach i pustyniach żmije i tygrysy. Zaś w miastach i na wsiach poborcy podatków.

Goście Masuda Umarkuła poruszyli się niespokojnie. Tę odpowiedź pojął każdy z nich. Nawet opasły kupiec Ismatułła, zwany dla przewiewnej czaszki Ismatułłą Pustaczkiem, nie miał wątpliwości, że zuchwały jest ten włóczęga. I o sercu nieulękłym, skoro pozwala sobie na głoszenie sądów, jakich nikt ze zgromadzonych tutaj nie odważyłby się wybąknąć na odległość nosa.

– Przebrnąłeś szczęśliwie przez dziewięć zagadek zrodzonych w umysłach mędrców dawnych wieków. Dobrze to świadczy o nauczycielach twoich – Masud Umarkuł dźwignął się ze sterty puchowych poduszeczek. – Czy gotów jesteś przystąpić do następnej części dzisiejszego zadania?

Hodża Nasreddin, nie tylko czytający księgi filozofów starożytności, ale mający i swój rozum, zaprawiony w nieustannych potyczkach z władcami, sędziami czy ulemami uczonymi w Koranie, odrzekł spokojnie:

– Tam, gdzie przejechało pierwsze koło wozu, powinno przejechać i drugie. Jestem gotów, panie.

– Doskonale. Pójdźmy przeto do komnaty, w której oczekuje was wszystkich, o czcigodni, smakowita uczta oraz czarnobrewe hurysy, a ciebie, wędrowcze, także i zadanie niezwykłe.

Ruszono żwawo na pokoje. Pierwszy kroczył Umarkuł z olbrzymią klepsydrą pod pachą. W wielkiej sali przyjęć ujrzano sześć wysokich dzbanów ustawionych w koło. Bogacz wskazał na nie ręką.

– Spójrzcie – rzekł. – Oto sześć dzbanów, a w każdym garść ziarna. Wiedzcie,

w pięciu znajduje się tylko groch wyłuskany, w jednym zaś na dnie pod grochem ukryta jest sakiewka z prawdziwymi perłami. Domyślasz się, człowieku wędrujący, że zagadka polega na ujawnieniu dzbana z perłami. Jeśli w czasie wyznaczonym uda ci się odkryć drogocenną zawartość, stanie się ona twoją własnością. Jednakże bez zaglądania do wnętrza dzbanów. Zresztą, oczy tu nic nie dopomogą, bo sakiewka została równo przysypana grochem. Nie podpatrywać, lecz liczyć musisz szybko. Rachować należy od jednego do tysiąca, obracając się wokoło. Liczenie trzeba rozpocząć od aftoby najwyższej. Dzban tysięczny będzie owym kryjącym w swoim brzuchu skarb oczekiwany. Nie zdążysz doliczyć do tysiąca, otrzymasz dwieście kijów poniżej pleców, a także przewodnika, który bez zwłoki wywiedzie cię z Kotliny Fergańskiej i porzuci w piaskach pustynnych. Biada twojej głowie, jeśli ponownie pojawisz się kiedyś w murach miasta.

Po tych słowach Umarkuł podniósł klepsydrę, odwrócił się i dorzucił:

– Pamiętaj, wędrowcze, liczyć wolno ci tylko do chwili wskazanej przez czasomierz.

Wielmoża mówił głosem spokojnym, gdyż dobrze wiedział, co mówi. Niedarmo zabezpieczył klepsydrę przed przykrą niespodzianką. Z samego rana odsypał z niej piasku tyle, że Bobonazarowi, najszybszemu rachmistrzowi Kokandu, wystarczało go zaledwie na dobrnięcie do dwustu pięćdziesięciu. Na liczeniu do tysiąca musi się więc potknąć nieznajomy włóczęga. Nic go dziś nie zdoła uratować. To będzie wspaniałe.

Dostojnicy zgromadzeni w komnacie z ciekawością spoglądali na Hodżę i miedziane naczynia. Otwór każdego dzbana zakrywała dłońmi piękna dziewczyna, strojna w szaty zwiewne. Oczywiście, smagłolice Czerkieski nie pojawiły się tutaj przypadkowo, widok ich miał mącić myśli mężczyzny, nie pozwolić mu na skupienie uwagi i nazbyt szybkie liczenie.

Pomny na blask urody czarnobrewych, Hodża Nasreddin przesłonił oczy ręką i zastanowił się chwilkę. Potem obrócił się dookoła i rzekł wskazując na jedną z miedzianych aftob:

– Ta oto będzie dzbanem tysięcznym.

– Co? Jakże to? – wystękał przerażony Umarkuł. – Szejtan chyba twoim sługą, wędrowcze? To niemożliwe, abyś o własnych siłach tak szybko rozwikłał tajemnicę ukrytych bezpiecznie pereł. Tylko z pomocą smrodliwych dżinów mógłbyś przeskoczyć granicę czasu. Przecież Bobonazar, rachmistrz biegły w swym rzemiośle, nie dobrnął jeszcze do pierwszej setki...

– Panie, aby poznać głębię rzeki, wcale nie trzeba wyczerpywać z niej wszystkiej wody – odpowiedział zagadkowo Hodża Nasreddin, wytrząsając z brzucha aftoby sakiewkę szlachetnych pereł. Po czym, nie zatrzymywany przez nikogo, opuścił progi domostwa Umarkułowego.

Dostojnicy rozeszli się w ponurym milczeniu. I tym razem nie udało się pognębić mądrego włóczęgi. Umarkuł dostał ataku febry ze złości, zieleniał i czerwieniał na przemian.

Ostatnia szansa ocalenia honoru – a może i pereł' – tkwiła jeszcze w informacjach zgromadzonych przez Wielkie Ucho Kokandu. Świętobliwy derwisz zapewne znalazł już coś, co pozwoliłoby skompromitować nieznajomego w oczach władcy. Skrywając niepokój na samym dnie serca Masud Umarkuł wrzasnął na sługi, aby podprowadzili mu wierzchowca. Następnie, okładając konia batogiem, pognał nad kanał, gdzie na moście godzinami zwykł wysiadywać przywódca szpiegów kokandzkich.

Nadaremnie wielmoża zaglądał pod spiczaste czapy derwiszów. Na próżno wypytywał o wszystkowiedzącego starucha. Na nic zdały się groźby, na nic przesłodzone słowa i obietnice. O losach wielkouchego derwisza nikt nic nie słyszał.

Umarkuł opadł z sił, pociemniało mu przed oczyma. Powoli osunął się na gliniany występ. Jęknął rozpaczliwie. Łatwiej igłą studnię wykopać, niźli dowiedzieć się czegokolwiek o zaginionym bez śladu Wielkim Uchu Kokandu.

Nieborak nie wiedział – bo wiedzieć przecież nie mógł – że świętobliwy derwisz, który w karawanseraju nie zdołał natrafić na przędzę potrzebnej nici, co zresztą przytrafiło mu się po raz pierwszy od lat czterdziestu, ukrył się przezornie poza miastem w grobowcu patrona muzułmańskich pielgrzymów, pod opieką duchownych doglądających mazaru.

Niekoronowany monarcha kokandzkich szpiclów był przekonany, że zagadkowy włóczęga wcześniej czy później opuści stolicę chanatu, a wtedy i on będzie mógł powrócić bezpiecznie do Kokandu, by wielmoży dostarczyć, co prawda z opóźnieniem, mnóstwa informacji zerwanych z drzewa obłudy i fałszu.

***

Mędrzec nie potyka się dwa razy o ten sam kamień. Pomyśl więc, młodzieńcze o głowie nasiąkłej olejem, co byś uczynił, gdyby i tobie kiedyś przyszło rozstrzygnąć problem podobny do Nasreddinowego? W jaki sposób kręcąc się wokoło i licząc po kolei równie szybko odkryłbyś pomiędzy sześcioma ów dzban tysięczny?

W CIENIU I BLASKU WIELKIEGO ADAMA

KRYSTYNA KOLIŃSKA

MARIOTKA

(KOLEKCJA PIERWSZA)

Maria, zwana zdrobniałe Mariotką, mieszkała w domu pod numerem 7 przy wąskiej i dość mrocznej jak wiele uliczek Paryża – rue Guénégaud. Schody prowadzące do mieszkania na czwartym piętrze były drewniane i ludzie wdrapujący się tu od lat po ich niewygodnej stromiźnie wyżłobili butami pośrodku dwie ciemne ścieżki. Chadzały tymi schodami, zatrzymując się co kilka stopni, dostojne staruszki w czarnych mantylkach. Wolno, ciężko, lecz równym krokiem posuwali się w górę, nieco posapując, mężczyźni z sumiastymi, oszronionymi siwizną wąsami, w młodzieńczych czamarach powstańczych, które oglądał rok 1863; Polonusy – widok jak z księgi o ojczystych dziejach. Żywo wbiegali na te same schody szczupli młodzieńcy w zarzuconych na ramionach, jak przystało artystom pelerynach. Pisanie wierszy, artykułów, malowanie, rysowanie, odwiedzanie najrozmaitszych domów, których główną atrakcją była nie tylko smaczna i bezpłatna kuchnia, ale i piękne córki gospodarzy – to wszystko stanowiło główne i atrakcyjne zajęcie owej bohemy.

A Mariotka była rzeczywiście ładna i jak głośno podkreślali goście oraz z dumą wielką, acz dyskretnie – ojciec, podobna była wielce do swego dziadka, Adama Mickiewicza.

Jesteśmy więc w domu, gdzie młoda panna przypominająca z twarzy Narodowego Wieszcza – mieszka z rodzicami, Władysławem i Marią z domu Malewską.

MICKIEWICZOWIE:

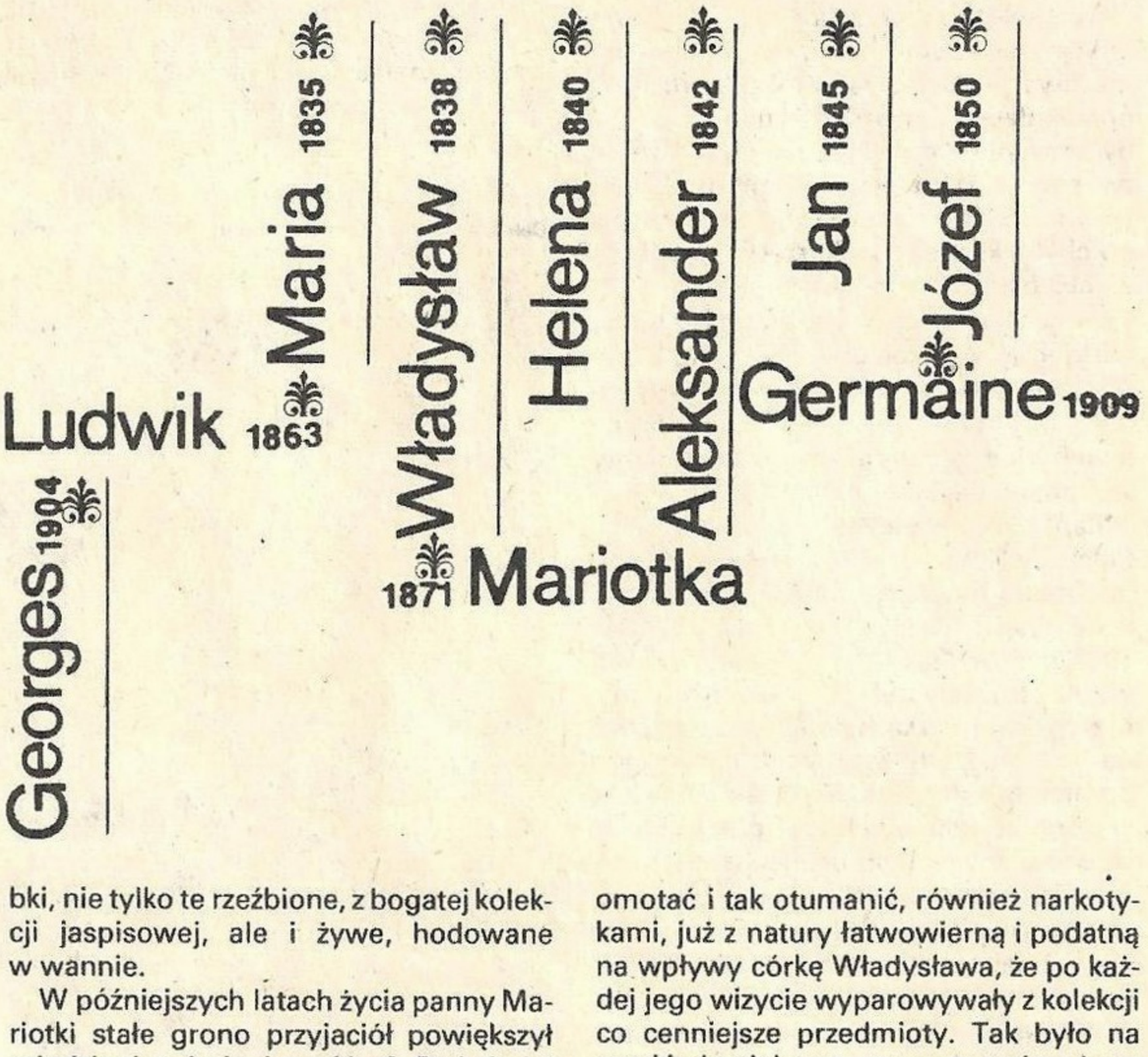

Po przedwczesnej, niespodziewanej śmierci siostry Heleny i brata, zmarłego jako dziecko, który nosił imię Adam, stała się jedynaczką.

Matka Mariotki była tak drobna, maleńka, skromna i milcząca, jakby Pan Bóg specjalnie dobrał ją jako towarzyszkę – uzupełnienie – dla tego mężczyzny o gęstej patriarchalnej brodzie, monologującego bez przerwy, patetycznego, apodyktycznego, żądnego uwielbienia nie tylko dla swego ojca, ale i dla siebie, dla swego trudu tworzenia postaci Rodzica, której nie mogła tknąć najmniejsza skaza, musnąć najlżejszy (w jego pojęciu) cień.

W głównym salonie państwa Mickiewiczów słowa płynęły zawsze górnolotnie i w obłokach szybowały myśli. Młodzież nie do końca dotrzymywała starszym rodakom placu w tej atmosferze. Mariotka także. I choć nigdy nie opuściła opowieści ojca pełnej uwielbienia i czci dla sławnego dziadka, to jednak kiedy wysłuchała jej, nieodmiennie z równym przejęciem, wstawała cichutko i z rówieśniczkami oraz z młodzieżą płci męskiej spod znaku bohemy przenosiła się na pogawędkę do sąsiedniego małego pokoiku. Ale i tam, wśród wesołych śmiechów i żartów, nie mogła w pełni wyzwolić się z obowiązku pamiętania i mówienia o wielkim dziadku. Cieszyło to ojca, martwiło matkę...

Kult Wieszcza, uprawiany bez przerwy, wykluczał wszystko, co mogłoby zbliżyć ją do poety jako do człowieka, zmuszał Mariotkę, aby przykładała do każdego zjawiska miarę nadludzką, wymagając ideału. I to prawdopodobnie stało się główną przyczyną, że jedyna córka Władysława nie była zdolna, mimo powodzenia, wybrać sobie towarzysza życia. Ciężko bowiem zdobyć się na taką decyzję, choćby nawet żywiej uderzało serce, gdy ojciec ciągle przypomina, że jest się w prostej linii wnuczką Geniusza, Ideału, Herosa.

Kiedy po śmierci rodziców Mariotka została sama w tym przygniatającym ją teraz milczeniem sanktuarium, kiedy głos ojca nie ożywiał już tych wszystkich martwych przekazów z przeszłości, wystawiona nagle samotnie na próbę dźwigania dostojnego dziedzictwa – nie umiała sprostać psychicznie temu zadaniu. Meble po przodkach, księgi, portrety na ścianach, rękopisy dziadka budziły w niej teraz, co najwyżej, elegijne rozważania.

Stopniowo czas łagodził smutek, puste miejsce w sercu wypełnił miłością do zwierząt. Wróciła też do ludzi i na nowo dom przy ulicy Guénégaud widział czamary wczorajszych powstańców, koronkowe, z kapturkiem pelerynki dam, fałdowane okrycia panów, o ściemniałym już złocie szamerowań. Oprócz spotkań z przyjaciółmi i wizyt różnych znakomitości (między innymi lubił tu grywać na starym fortepianie sam mistrz Paderewski) wypełniały jej dni – ukochany pekińczyk Ming, papuga wykrzykująca po polsku „Wlazł kotek na płotek", kotka, a przez czas pewien nawet oswojone myszy. I żabki, nie tylko te rzeźbione, z bogatej kolekcji jaspisowej, ale i żywe, hodowane w wannie.

W późniejszych latach życia panny Mariotki stałe grono przyjaciół powiększył młodzieniec, imieniem Józef. Stał się jej wychowankiem, a w miarę upływu czasu – zaufanym doradcą, powiernikiem, strażnikiem bezcennych pamiątek. Całe szczęście, że przedtem wiele przedmiotów z rodzinnej skarbnicy przekazał Władysław Mickiewicz do stworzonego przez siebie w 1903 roku Muzeum Mickiewicza przy Bibliotece Polskiej w Paryżu. Ów wychowanek bowiem – Józef G. – umiał tak omotać i tak otumanić, również narkotykami, już z natury łatwowierną i podatną na wpływy córkę Władysława, że po każdej jego wizycie wyparowywały z kolekcji co cenniejsze przedmioty. Tak było na przykład z pięknym, czarnym szalem żony Adama, Celiny Mickiewiczowej; szczęśliwym trafem został odkupiony od owego hochsztaplera przez mieszkającego w Paryżu pana Andrzeja Wyssogotę-Zakrzewskiego, który przekazał owo koronkowe cudo w darze dla Muzeum Literatury imienia Adama Mickiewicza. Gdy przyszedł rok 1952, wiekowa już staruszka oddała, na krótko przed śmiercią, resztę pamiątek

do tegoż muzeum, między innymi krzesełko i kufer podróżny swego wielkiego Dziadka.

I to była pierwsza rodzinna kolekcja mickiewiczianów, która trafiła z prywatnych rąk, z obczyzny, do warszawskiego muzeum. Historia drugiej kolekcji, która przywędrowała z Francji do kraju wiąże się z najmłodszym synem Adama Mickiewicza – Józefem i synową poety. A trzecia, ta najobszerniejsza, znajdująca się od bardzo niedawna w Warszawie, stanowiła własność prawnuka Adama Mickiewicza, George'a Goreckiego.

JÓZEF I LUIZA

(KOLEKCJA DRUGA)

Pannę Luizę de domo Froment, z męża Józefową Mickiewiczową, poznałam przed kilku laty w Warszawie i usłyszałam wtedy z jej ust różne opowieści. A nawet udało mi się uzyskać na jednym z tomów dzieł Mickiewiczowskich jej autograf: „Krystynie Kolińskiej na pamiątkę miłego pobytu w Warszawie".

Synowa wielkiego Adama i jej pobyt w Warszawie Anno Domini 1974! „Niemożliwe" – oponowali moi znajomi, gdy opowiadałam im o spotkaniu. A jednak była to autentyczna synowa, żona Józefa, zwanego zdrobniale Zi, najmłodszej latorośli naszego Wieszcza. Ojciec najwięcej go chyba kochał. Pisał przecież o małym Zi jako o bardzo zdolnym i miłym, „szczęśliwego przyrodzenia i dobrego charakteru dziecięciu, stworzonym na poetę". Gdy Adam Mickiewicz zmarł w Konstantynopolu, razem z nim pochowano w trumnie pukiel włosów najmłodszego syna, ukryty w medalionie, który miał przy sobie.

Pani Luiza przyjechała w 1974 roku do Polski pierwszy raz w swoim życiu i ostatni. Zmarła bowiem w cztery lata później, w dziewięćdziesiątym roku żywota 3 maja 1978 r. Wówczas w czasie warszawskiej wizyty towarzyszył jej zięć, Kazimierz Krzyżak. Staruszka była bardzo wzruszona i dumna, gdy zaprowadziłam ją pod pomnik Mickiewicza. Spojrzała wówczas w górę na odlaną w brązie postać teścia i rzekła z dowcipnym uśmiechem:

– Tak mnie tu w Warszawie fetujecie, wydaje mi się czasem, że w Polsce dwie najważniejsze osoby to – Adam Mickiewicz i ja.

W czasie pobytu pani Józefowej zapoznałam się z maszynopisem jej córki zatytułowanym: „Wspomnienia mego ojca Józefa o własnym ojcu Adamie Mickiewiczu".

Z tekstu przebija przywiązanie, serdeczne uczucie Germaine do męża pani Luizy.

Określany mianem dziwaka, człowieka o ekscentrycznych obyczajach – nie był zapewne łatwy do zaakceptowania w codziennym życiu, ale jego dobroć, swoiste poczucie humoru, nieprzykładanie wagi do błahostek, przeważały; pozwalały lubić go, szukać z nim rozmów.

Córce jawił się jako człowiek tolerancyjny, dyskretny, pogodny. Z jego jasnoniebieskich oczu przezierała łagodność. Lubił czasami, przy jakiejś wyjątkowej okazji, snuć wspomnienia o rodzicach, mgliste nieco, wątłe i oszczędne, miał bowiem niespełna pięć lat, gdy zmarła mu na początku marca w 1855 roku matka, a późną jesienią – ojciec. Przypominał sobie więc niejasno, jak ojciec, zawinąwszy go – po pogrzebie matki – w dużą chustę, wziął go na ręce i niósł do Marii Falkenhagen-Zaleskiej, aby zaopiekowała się nim przez czas pewien.

Wcześniejsze wspomnienia o ojcu łączyły się z obrazem posiłków w rodzicielskim domu. Adam Mickiewicz zważał bardzo na zachowanie się dzieci przy stole. Nie wolno było głośno mówić, potrącać się, zostawiać napoczętego kawałka chleba i nie dojedzonych resztek na talerzu. Poeta był zwolennikiem surowego wychowania i uczenia dzieci pewnych zasad przez cielesną nawet karę. Nawet najmłodsze i najukochańsze dziecko odczuło to boleśnie na własnej skórze. Otóż Józef, bawiąc się pewnego razu z pieskiem, specjalnie nadeptywał mu na łapkę; zwierzątko wydawało wówczas pisk, co wielce bawiło malca. Zauważywszy to Adam Mickiewicz oparł stopę na nodze syna, a widząc, że chłopiec krzywi się z bólu, powiedział: „Nie dręcz nigdy zwierząt. Nie rób drugiemu, co tobie niemiło".

Józef do końca życia zapamiętał tę naukę, podobnie jak i szacunek dla chleba. Nie znosił, aby zmarnowały się – jak podkreślał – dary boże.

Józef Mickiewicz był na starość bardzo podobny do swego wielkiego ojca. „Patrząc na fotografię mego ojca na łożu śmierci – pisała pani Germaine – nie mogę nie myśleć o obrazie mego dziadka na łożu śmierci, tak identyczne mieli rysy".

Kilka osób w Paryżu pamięta jeszcze brązowy redingote Józefa Mickiewicza, jego wyprostowaną po wojskowemu postać, choć drobnej był raczej postury. Codziennie rankiem dźwigał olbrzymią czarną tękę wypchaną papierami, podążając do biblioteki. Ten oryginał lubiany przez obcych, a niechętnie traktowany przez starszych braci – szczególnie nieżyczliwy był mu Władysław – miał rozmaite zainteresowania: artystyczne, matematyczne, społecznikowskie, ciekawiła go też dziedzina obyczajowości, filozofia, socjologia. Rysował bez końca różne figury geometryczne, stawiał rządki cyfr, kolumienki rozmaitych, niezrozumiałych układów liczb; próbował bowiem od lat znaleźć formułę kwadratury koła i do końca życia nie pozbył się nadziei, że mu się to w końcu uda. Interesował się też magią, starymi procesami o czary, zapełniając wiele stron wynikami swego bibliotecznego szperactwa. Pragnął bowiem i o tym napi-

Celina Mickiewiczowa z córkami: starszą Marią i młodszą Heleną

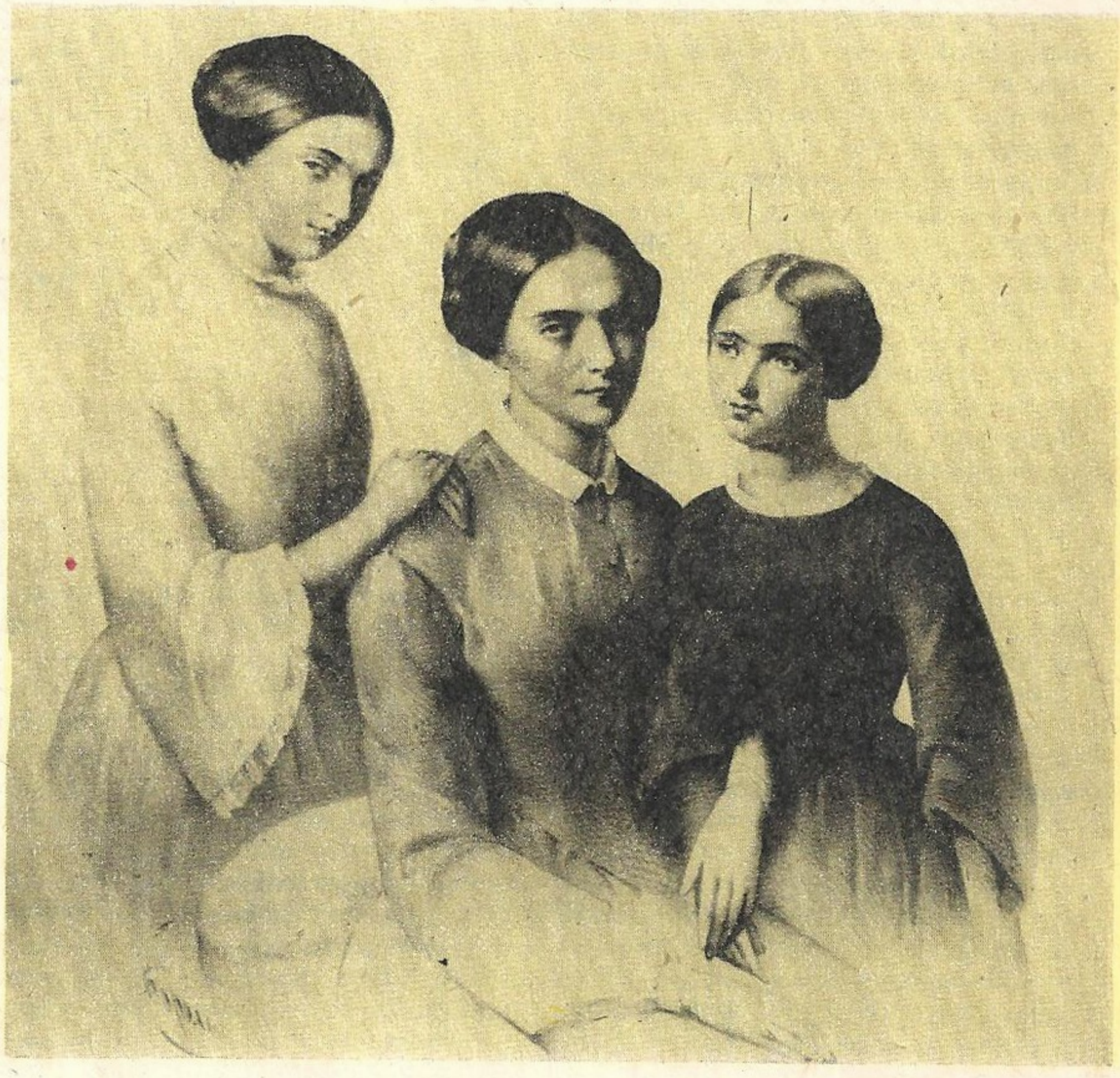

sać książkę. Kochał bardzo muzykę, dobrze grał na pianinie.

George Gorecki – prawnuk Adama Mickiewicza – pamięta wyraziście dom przy ulicy Rollin 21 pokój na drugim chyba piętrze, gdzie wchodziło się prosto ze schodów. Mieszkanie to trudno było nazwać siedliskiem ładu i czystości; na podłodze leżały zawsze rozrzucone książki, strzępy papierzysk, gazety, ilustrowane pisma w różnych językach. Józef władał – podobnie jak i jego ojciec, i brat Władysław, i siostra Maria – kilkoma językami. Na stole piętrzyły się całe stosy kartek, w których wiodącą myśl mógł jedynie odnaleźć sam gospodarz.

Wśród tego oceanu papierów, w ich odmęcie, jak morska latarenka, filowała lampa naftowa z okopconym szkiełkiem. Na prawo od wejścia stało pianino. Podobno od czasu, gdy przed laty zmarła dziewczyna, imieniem Marta – jego pierwsza i wielka miłość – rzadziej już na nim grywał. Z tym to głównym salonem sąsiadowało małe pomieszczenie, zwane sypialnią, ale i tam pełno było szpargałów i druków. Nawet materac, który służył właścicielowi za całe łoże, spoczywał na starych księgach, ułożonych w miarę równo, na jednej wysokości. Może dlatego plecy Józefa, nawet w podeszłym wieku, były po żołniersku proste.

Pan George pamięta dzień, gdy „stryj" zajadając jakąś mocno przejrzałą gruszkę (uważał bowiem, że owoce z pleśnią są bardziej korzystne dla zdrowia człowieka) rzekł mu od niechcenia: „Mam zamiar ożenić się z bardzo miłą panią, imieniem Luiza, która mieszka w tym samym domu w towarzystwie córeczki i kota".

Gdy rzeczywiście ożenił się wkrótce potem, nie zmienił obyczajów, spędzając czas przeważnie w swoim kawalerskim mieszkaniu.

Rodzony brat, Władysław, nie chciał zaaprobować stylu życia Józefa. A już zupełnie nie mógł mu wybaczyć małżeństwa z Francuzką i nieeksponowanego stanowiska w prefekturze.

Kontakty obu braci – Władysława i Józefa – stały się więc po decyzji adopcji córeczki pani Luizy przez Józefa, powiedzmy łagodnie, jeszcze bardziej wstrzemięźliwe.

Ale życie lubi stwarzać paradoksalne sytuacje. Gdy przyszedł wielki dla Mickiewiczów dzień, odsłonięcia w Paryżu pomnika poety dłuta sławnego Emila Antoine'a Bourdelle'a, ród Mickiewiczów miał reprezentować nie ten, który przez całe życie zabiegał o chwałę dla nazwiska, o cześć dla Wieszcza, nie ten, który głosił „łączność z duchem ojczystym", nie ten Człowiek-Symbol, lecz obojętny na splendory i dostojeństwa były urzędnik prefektury, referent opieki społecznej, między innymi dorabiający sobie jako grajek w kinach podmiejskich, towarzyszący swą muzyką niemym scenom na filmowym ekranie. Bowiem Władysław już nie żył, a Józef, ciesząc się dobrym zdrowiem, zaczynał właśnie siedemdziesiąty dziewiąty rok swego życia.

Kwiecień 1929 rok. Wielka gala, przedstawiciele władz, korpus dyplomatyczny, naukowcy, świat artystyczny – paryski i polski. I on – rodzony syn tego, który wysoko na pomniku! Obcy tej gali, stoi sobie wśród tłumu zebranych, wbity ciasno w uszyty specjalnie dla niego na tę okazję surdut. Sztywno wykrochmalony biały kołnierzyk gniecie mu szyję, ciemny krawat, jakby z przekory, jakby dla pokazania, że nie poddaje się światu konwenansów, przekrzywił się w prawą stronę.

A potem nastąpiło wspaniałe przyjęcie w polskiej ambasadzie. Ludwik, syn Marii Goreckiej, rodzonej siostry Józefa, drżał z obawy czy wuj-oryginał nie spospolituje Jakimś odezwaniem się, gestem, tego wytwornego nastroju, czy nie skompromituje pamięci swego wielkiego ojca.

Oto wchodzi już prezydent Francji, Doumergue, przedstawiciele władz i artystycznego świata. Lśni liberia służby, bieleją pulchne ramioną pani Chiappe, żony prefekta Paryża. Wszyscy we frakach, przy orderach, w brylantach... Dozowane uśmiechy, dyskretne spojrzenia, wyważone ukłony.

Obawy wnuka Adama okazały się zbyteczne. Oto w drzwiach pojawia się Józef Mickiewicz. Idzie krokiem naturalnym, patrząc obojętnie na tę całą galę, uśmiecha się śmiało, rzec można – łaskawie. Przy-

Maria z Mickiewiczów Gorecka, najstarsza córka Adama

Najmłodszy syn Mickiewiczów – Józef w wieku pięciu lat

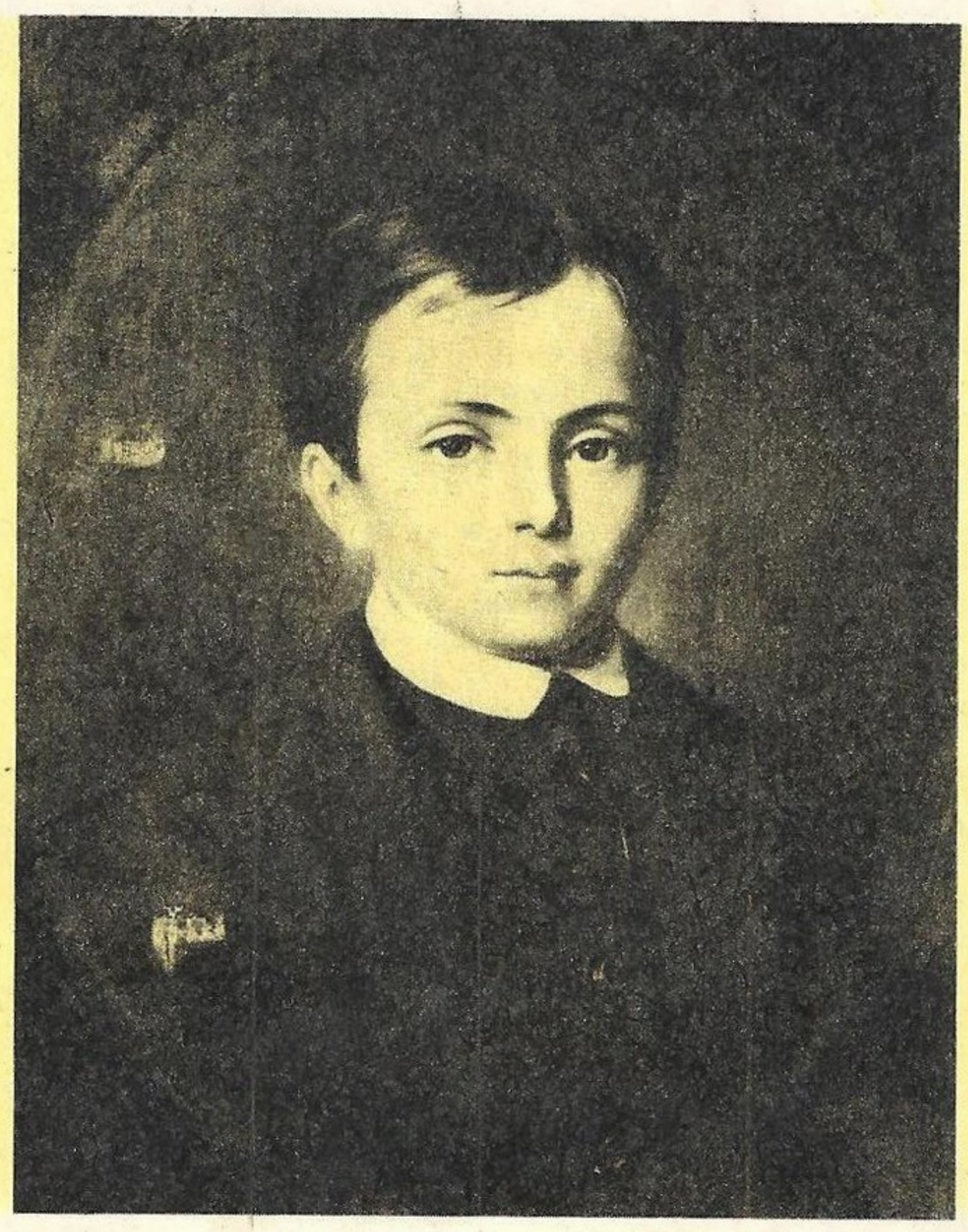

zwoicie przystrzyżona bródka i starannie wyczesana szczoteczka wąsów, tylko siwe gęste kosmyki opadają nieco na skronie i na uszy, a krzaczaste brwi nie chcą ułożyć się w równą linię.

„Wszystko w porządku – szepnął ojcu Jerzy Gorecki – jedynie był kłopot z parasolem. Bał się go dać szatniarzowi.

Duży, mocno już wyszarzały parasol Józef Mickiewicz – po usilnych perswazjach stryjecznego wnuka – zdecydował wreszcie, acz z oporami, zostawić w szatni.

Przy stole cała uwaga skupiła się nagle na Józefie; najzupełniej naturalnie rozpoczął swobodną rozmowę z prezydentem Doumergue.

Józef Mickiewicz zmarł 25 sierpnia 1938 roku. Wszystkie pamiątki po nim odziedziczyła wdowa i jej córka Germaine. Gdy w lipcu 1972 roku pani Germaine zmarła w Paryżu, zostawiła mężowi – pułkownikowi Krzyżakowi – bezcenne pamiątki po Dziadku i Ojcu. Właśnie podczas swej wizyty w Warszawie, pani Luiza i jej zięć przekazali je w darze Polsce. Wśród pamiątek znalazły się między innymi: album z inicjałami „AM", pudełko do kart, szkatułka Celiny Mickiewiczowej, dokumenty osobiste Józefa Mickiewicza i archiwum, a w nim listy i różne papiery pozostawione przez sekretarza Adama Mickiewicza, Armanda Lèvy. Bezcenne pamiątki obejmowały także albumy z fotografiami rodziny Mickiewiczów i jej przyjaciół.

I to była właśnie ta druga kolekcja mickiewiczianów, która trafiła do warszawskiego Muzeum Literatury.

BABUNIA

(KOLEKCJA TRZECIA)

Historia trzeciej, tej najwspanialszej kolekcji przekazanej do Polski jesienią 1978 roku przez George'a Goreckiego (o dziennikarskim pseudonimie Avronsant) wiąże się z rodem Goreckich, a przede wszystkim z Babunią, czyli Marią Gorecką, najstarszą córką Adama, tą, która po śmierci obojga rodziców stała się troskliwą opiekunką młodszego rodzeństwa.

To ta, z którą ojciec czytał razem, gdy była jeszcze młodziutką dziewczyną, „Żywoty sławnych mężów", a widząc jej zamiłowanie do książek, ofiarował jej bezcenny księgozbiór z wytłoczonym złotym w skórze monogramem „M.M." Ta, której Adam opisywał w 1855 roku swą podróż do Konstantynopola, dodając tam w myśl zasady: „bawiąc – uczyć" takie zdanie: „Kiedy dzieci przyjdą w niedzielę ze szkoły, niech na mapie wykreślą drogę, kędyśmy żeglowali. Będzie to egzamin z geografii". To do niej poeta napisał swój ostatni list. To jej Armand Lèvy, kochający ją bez wzajemności, ofiarował złoty emaliowany medalion kryjący włosy Adama Mickiewicza. To do niej schodzili się w polskie święta narodowe liczni goście. W te dni spotykali się w jej domu, jakże różni i dalecy sobie, choć tak bliscy krwią, bracia rodzeni – Władysław i Józef.

Maria wyszła za mąż za malarza, Tadeusza Goreckiego, syna Antoniego. W ich mieszkaniu przy Bulwarze Saint Germain 26 spotykali się – zazwyczaj w tradycyjne poniedziałki – ludzie ze świata naukowego, artystycznego, i to zarówno Polacy, jak i Francuzi. Spośród malarzy jednym z bliższych przyjaciół domu był Tadeusz Makowski.

George Gorecki pamięta dobrze swoje wizyty w mieszkaniu Babuni przy Saint Germain i jej opowieści o Adamie Mickiewiczu.

Kiedyś – opowiadała wnukowi – jak przybył do nich Chopin, tak wspólnie z Mickiewiczem zajęli się improwizowaniem, jeden – muzyki, drugi – poezji, że pochłonięci i natchnieni nie zauważyli, jak ogień z kominka rozszerzył się na pokój.

Poeta starał się w córce wyrobić miłość nie tylko do książek, ale i do natury. Czasami też marzył przy niej: „Kupiłbym sobie parę szwajcarskich krów i koguta, który piałby mi pod oknami, przypominając Litwę. Pragnąłbym mieszkać w chacie krytej strzechą, w lesie, a ty znosiłabyś mi borowiki".

Zdaniem Babuni Goreckiej, Adam Mickiewicz posiadał wielki dar jasnowidzenia. Goszcząc na przykład w Weimarze, u Goethego, zabawiał się w odgadywanie właścicielek pierścionków rzuconych na tacę wtedy, gdy był nieobecny w pokoju. Umiał wskazać nie tylko owe właścicielki, ale i powiedzieć wiele nawet bardzo intymnych rzeczy na ich temat. Goethe, ponoć bardzo tym poruszony, przerwał eksperyment ku uldze dam zaniepokojonych ujawnianiem ich sekretów.

Jeszcze stosunkowo niedawno można było spotkać wiele osób, które znały osobiście Marię Gorecką. I mnie zdarzyło się, że poznałam człowieka, dziś już nieżyjącego inżyniera Stanisława Świackiego, który opowiadał mi o czasach, gdy Maria Gorecka gościła w Bielicy – majątku jego rodziców. Było to w czasie pierwszej wojny światowej.

Front odciął jej powrót do Francji. I wtedy właśnie na następne cztery lata swego życia zamieszkała w bielickim dworku państwa Świackich, powinowatych jej nieżyjącego już wtedy męża, Tadeusza Goreckiego.

Babunia, czyli Maria Gorecka, podczas wizyty w Polsce w 1898 r.

Inżynier Świacki pamiętał:
– że Babunia była u nas bardzo zadomowiona, zajęta przez cały dzień bądź szyciem dla dzieci w ochronce, bądź robótkami szydełkowymi czy haftem, w którym celowała od dawna. Przecież to ona przed laty haftowała sztandar, który Wieszcz zabrał dla polskiego legionu w Turcji;
– że Babunia zawsze opowiadała, jak jej wielki ojciec żartował nieraz z Francuzami, iż nie odróżniają muchomorów od borowików;
– że Babunia jeździła powozem na grzyby do puszczy i że straż leśna była wtedy już wcześniej uprzedzona, aby dla „starszej pani" poustawiać w mchu rydze i borowiki...

* * *

...Maria Mickiewiczówna – wnuczka Adama, w przesyconym kadzidłem powietrzu, w mieszkaniu z widokiem na przeszłość, wśród świętych papierów, obrazów i foteli. Kobieta o przejmującym smutkiem życiorysie, którą do końca jej późnych dni nazywano – jak za życia Władysława – Mariotką.

Władysław – najstarszy syn Adama, pełen swego posłannictwa, utopista, marzyciel, ale i, trzeba przyznać, człowiek czynu, irytujący niektórych celebrant, pragnący w najszlachetniejszych czasem intencjach przemieniać ludzi z krwi i kości w świetlane wizerunki ideałów.

Józef – najmłodszy syn Adama, po śmierci rodziców wychowywany w różnych domach, pod różnymi dachami, cudowny dziwak lubiący ludzi i lubiany przez ludzi.

Maria – najstarsza córka Adama, wychowana przez ojca pod znakiem „Żywotów sławnych mężów" i przykazań o obowiązkach kobiety Polki. Matka rodu Goreckich.

...Postacie dawne i współczesne nam, sceny zbladłe, o niewyraźnych konturach i te wyraziste, jakby działy się wczoraj, choć zapadły się w otchłań czasu przed dziesiątkami lat.

Stanęli w kręgu cienia wielkiego Adama, który jest zarazem światłem, jak reflektor wydobywający ich postacie, ich gesty, przedmioty, pamiątki, które towarzyszyły im niekiedy aż do śmierci. Sprzedane by może zostało anonimowemu nabywcy drewniane łóżko córki Adama Mickiewicza, Marii, na którym zmarła tego samego dnia, co jej ojciec, tylko w sześćdziesiąt siedem lat później. A tak – widnieje ono dziś na poczesnym miejscu w warszawskim muzeum. Któż opowiadałby o żabkach panny Mariotki, gdyby nie były to żabki wnuczki Adama. Zapadłyby się w nicość i w niepamięć słowa pani Luizy, synowej poety.

Korowód różnych postaci – wokół tej głównej; kontredans rozmaitych gestów, zachowań. Jedni próbują zwrócić uwagę na jakiś szczegół, drudzy zatrzeć go, jedni próbują oświetlić pełne oblicze Tego, co na szczycie, drudzy zasłaniają je, zmieniając obraz na inny.

A wszyscy są w pełnej gali, odświętni, dobrze ubrani, raz pojawiają się na oficjalnych przyjęciach w wytwornych salonach, to znów widzimy ich w pięknych wnętrzach prywatnych apartamentów. Tylko jeden może Józef w towarzystwie Louise drepcze sobie gdzieś na boku, w swoim odwiecznym surducie, i nie usiłuje nawet ukryć dziury w starym parasolu, ani nie stara się wyprostować przekrzywionego krawata, ani nie zmienia wyrazu twarzy, gdy rozmawia z samym prezydentem Republiki.

Zdjęcie wykonane ok. 1926 r.; widać na nim potomków Adama Mickiewicza oraz przedstawicieli polskiej dyplomacji przebywających w Paryżu. Od lewej – Władysław Mickiewicz, Władysław Sikorski, żona Władysława Mickiewicza i córka Mariotka. Pierwszy z prawej – Józef Mickiewicz

Luiza Mickiewiczowa – synowa poety przekazuje Muzeum podczas wizyty w Polsce w 1974 r. pamiątki po Adamie Mickiewiczu

Zdjęcia z Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza

„ZEMSTA" w Rabacie

Chcielibyśmy przedstawić państwu fragmenty »Zemsty« Aleksandra Fredry... i mamy nadzieję, że nasze próby sceniczne będą przyjęte z życzliwością.

Zaproszenia tej treści wręczyliśmy wielu Polakom mieszkającym i pracującym w Rabacie, a także rodzicom naszych koleżanek i kolegów z wielu miast i ośrodków Maroka.

Pani Krystyna Frydecka – nasza profesorka języka polskiego podjęła się funkcji reżysera, a patronat nad całością miał dyrektor naszej rabackiej szkoły mgr Michał Anisimowicz.

Próby rozpoczęły się jeszcze podczas wakacji w mieszkaniu państwa Frydeckich. Przedpokój stał się sceną, a sąsiadujący z nim salon – widownią, na której siedziała na razie tylko pani reżyser z egzemplarzem „Zemsty" w ręku. W tekście zakreślone były, wybrane przez nią, fragmenty do inscenizacji. Obsadzono role.

Cześnikiem został Cezary Borowiecki (kl. III L.O.), rolę Rejenta Milczka powierzono Marysi Zatońskiej (kl. II L.O.), a rolę Papkina – Markowi Świerkoszowi (kl. III L.O.). Postacie kobiece kreowały: Katarzyna Suchecka (kl. II L.O.) i Kasia Grabska (kl. II L.O.) – Klara. Agnieszka Frydecka występowała jako murarz. Niżej podpisany Michał Lutoborski (kl. III L.O.) miał zaszczyt występować jako Dyndalski.

Rozpoczęły się próby. Jąkając się nieco na początku posuwaliśmy się jednak do przodu. Trzeba było też myśleć o kostiumach. Skompletowanie ich nie było rzeczą łatwą, ponieważ mamy tu na ogół garderobę letnią, a ta niezbyt odpowiadała naszym wyobrażeniom o dawnych polskich strojach. Ale i tę przeszkodę udało się pokonać. Podstolina i Klara zdobyły długie suknie, wpięły kwiaty we włosy, wypożyczyły wachlarze i wyglądały świetnie. Dwa szlafroki kąpielowe, po odpowiednich zabiegach, stały się kontuszami dla Cześnika Raptusiewicza i Rejenta Milczka. Papkin, cały w koronkach, w kamizelce, specjalnie uszytych pantalonach i w kapeluszu z piórami olśniewał wprost elegancją. Ponadto atrybutami męskości dla Marysi-Rejenta i Agnieszki-Murarza stały się wielkie, czarne wąsy. Ja jako Dyndalski byłem w szczególnych „opałach", ubrany w półkożuszek, z jaśkiem na plecach, spływałem dosłownie potem.

W którąś wrześniową środę po lekcjach przenieśliśmy się z próbami do szkoły, do sali klubowej, która miała być miejscem stałych występów. Premiera była przewidziana na Dzień Nauczyciela, tj. 14 października. Rozesłaliśmy zaproszenia zaprojektowane przez inż. arch. Krzysztofa Rzechowskiego, rozlepiliśmy namalowane przez tego samego pana plakaty.

W sobotę poprzedzającą tę uroczystość odbyła się próba generalna. Stała się ona spektaklem dla rodziców i rodzeństwa aktorów. Wszyscy przyszli chętnie, bo chcieli nas zobaczyć na scenie. Spektakl został gorąco przyjęty przez publiczność – jak piszą zawodowi recenzenci. No, i nie ma się co dziwić! Widownia była szczególnie żywo zainteresowana naszym sukcesem.

Premierowy spektakl zaszczycili: pan ambasador Czesław Ciapa z małżonką, przedstawiciele polskiej placówki i grono profesorskie, któremu złożyliśmy życzenia z okazji święta.

Nie da się ukryć, że byliśmy trochę stremowani, ale mistrz Fredro widocznie nad nami czuwał, bo nie myliliśmy się zbytnio, a jeśli nawet to na tyle zręcznie, że publiczność tego nie zauważała. A potem to już tylko rzęsiste oklaski, błyski flesza, kwiaty, kwiaty... tak wyglądał nasz aktorski debiut.

Następne przedstawienia odbywały się w kolejne sobotnie popołudnia. Pierwsze dwa były przeznaczone dla wszystkich przyjeżdżających do szkoły na konsultacje z różnych zakątków Maroka. Na trzecie zaprosiliśmy polskich specjalistów mieszkających w Rabacie. Grało nam się z coraz większą wprawą. Wiedzieliśmy nawet, kiedy i czym rozśmieszymy widownię. Na przykład, gdy Papkin przechwalał się swoim męstwem i odwagą lub gdy Dyndalski przepisywał każde „mocium panie" swego chlebodawcy, dostając od niego rugi, publiczność wprost szalała z radości.

Oklaski i gratulacje były dla nas dowodem, że teatr, no, i oczywiście komedia tak żywa i dowcipna jak „Zemsta", to rozrywka szczególnie miła i pożądana dla ludzi, którzy za granicą pozbawieni są kontaktów z krajem. I chyba ten właśnie wzgląd – nie mówiąc już o naszych własnych chęciach – zadecyduje o zorganizowaniu następnej imprezy, którą będzie wieczór poezji romantycznej.

Na zakończenie czytelnikom tego sprawozdania należą się pewne wyjaśnienia, dotyczące po pierwsze – marokańskiej Polonii, a po drugie – charakteru i zakresu działania polskiej szkoły w Rabacie.

W Maroku przebywa, pracując na kontraktach zawartych za pośrednictwem PHZ Polservice, dwustuosobowa grupa specjalistów, głównie lekarzy, inżynierów, geologów, rolników, weterynarzy i wykładowców wyższych uczelni. Właśnie ich dzieci, a także dzieci pracowników ambasady, konsulatu i biura radcy handlowego są uczniami utworzonej w roku ubiegłym Szkoły Polskiej przy Ambasadzie PRL w Rabacie. Uczniowie z Rabatu i okolic mają lekcje w środy i soboty po południu, kiedy nie ma zajęć w szkołach miejscowych. Raz w miesiącu w sobotę i niedzielę odbywają się konsultacje dla uczniów przyjeżdżających. Mamy kolegów na północy Maroka – w Tangerze i Tetuanie, którzy uczą się w szkołach z językiem hiszpańskim. Są tacy, którzy chodzą do szkół arabskich, np. w Safi czy Ksar-es-Souku (na skraju Sahary). Większość młodzieży z Rabatu, Casablanki, Kenitry i Marrakeszu uczęszcza do szkół francuskich. W polskiej szkole przerabiamy cały normalny program z wyjątkiem języków obcych, wychowania fizycznego, muzycznego, plastycznego i zajęć praktycznych. Jest nas w sumie 72 uczniów, z tego w klasie I szkoły podstawowej 5 uczniów, zaś w klasie maturalnej trzy osoby. Najliczniejsza klasa VIII jest 9-osobowa. Wśród profesorów znakomitą większość stanowią zawodowi nauczyciele polskich szkół, a więc nie ma mowy o „taryfie ulgowej", choć szkoła jest nietypowa, bo mieści się w niedużej willi z ogrodem pełnym egzotycznej roślinności.

Michał Lutoborski
uczeń III klasy Liceum Ogólnokształcącego przy Ambasadzie PRL w Rabacie

Zabawki dla psów, kotów i innych czworonożnych ulubieńców można nabyć w specjalnych sklepach we Francji i innych krajach zachodnioeuropejskich oraz w Stanach Zjednoczonych. Na fotografii reklamującej psie zabawki, którą reprodukujemy z francuskiego czasopisma „La vie des bêtes", widać właśnie rozmaite pieski, kaczorki, jeżyki, kawałki sznura z grubymi węzłami, a także kości – wszystko to wykonane ze specjalnego tworzywa, odpowiedniego dla psich zębów.
W okresie świątecznym sklepy z psimi zabawkami oblegane są nie mniej od sklepów, w których sprzedaje się zabawki dla dzieci.

Huśtawka – jest ulubioną zabawką dzieci (i nie tylko dzieci) na całym prawie świecie. Może to być wygodne, wyścielane miękką tkaniną krzesełko, zawieszone na linkach lub łańcuchach, lub po prostu zwykła deseczka, a nawet stara opona samochodowa, którą umocowuje się na łańcuchu zaczepionym o konar grubego drzewa. Na takiej właśnie huśtawce lubią się bawić dzieci w stanie Radżasthan, na południu Indii.

CIEKAWE ZABAWNE NIEZWYKŁE

Domowy poduszkowiec, służący do przenoszenia mebli i innych przedmiotów o wadze dochodzącej do kilkuset kilogramów, skonstruował Jerzy Bień z Centralnego Ośrodka Rozwoju Przemysłowych Artykułów Konsumpcyjnych. Jest to rodzaj składanej palety poruszającej się na poduszce sprężonego powietrza. Ten oryginalny poduszkowiec zasilany jest zwykłym domowym odkurzaczem.

Rady nie na serio
Najlepszym sposobem na to, aby wyglądać szczupło, jest pokazywanie się wyłącznie w towarzystwie grubasów.

Złota myśl w ramce

Bądźmy samoukami,
nie czekajmy, aż
nas życie nauczy.

Wesele z osłem. W hiszpańskiej wiosce Pucuta Gentil, leżącej w pobliżu Cordoby od wielu lat istnieje zwyczaj, że państwo młodzi udają się na uroczystość zaślubin do kościoła na ośle. Osioł ten uczestniczy również w uczcie weselnej, a potem odwozi młodą parę do domu.

Katalog meteorytów wydano w Związku Radzieckim. Zawiera on spis wszystkich pozaziemskich obiektów, które znaleziono na terenie ZSRR, w sumie jest ich 149. Najstarszy ze znalezionych tam meteorytów spadł w 1794 roku pod Krasnojarskiem. Najobfitszy deszcz meteorytów (nie tylko w ZSRR, ale na całej kuli ziemskiej) spadł 12 stycznia 1947 r.

Walka demonów – to obrzędowy taniec, jakim nepalscy lamowie (mnisi buddyjscy) witają Nowy Rok na dziedzińcach swoich świątyń. Ubrani w obrzędowe (bardzo kolorowe) stroje i specjalne maski, z których jasna oznacza ducha dobra, a ciemna – ducha zła, tancerze „zmagają się" ze sobą w tańcu, który kończy się zwykle zwycięstwem dobra nad złem.

To piękne, obrzędowe widowisko stanowi dla przybyszów z obcych stron nie lada atrakcję. Samych Nepalczyków natomiast utwierdza w przekonaniu, że zdołają oni uniknąć dzięki temu nieszczęścia. Nie ma bowiem na świecie narodu równie przesądnego i zabobonnego, jak mieszkańcy tego wysokogórskiego kraju, w którym dosłownie wszystko składa się z dobrych i złych znaków. Np. niedobrze jest zobaczyć wronę, zwłaszcza podczas mycia, źle jest zgubić nakrycie głowy lub włożyć jakąś część ubrania na lewą stronę. To znak, że spotka tę osobę coś przykrego. Jeszcze gorzej jest zobaczyć np. maszerujące gęsiego krety lub usłyszeć nocą wycie szakala – to znak, że ktoś bliski umrze. Natomiast jeśli komuś podczas czesania wypadnie grzebień – będzie miał gości. Swędzenie prawej dłoni oznacza wydatek, lewej – zysk.

mam zamiłowanie do ...

czyli O WYBORZE SZKOŁY I ZAWODU

ZOSTANĘ RZEMIEŚLNIKIEM

Myślę o zdobyciu zawodu introligatora i założeniu w przyszłości własnego zakładu rzemieślniczego. Bardzo proszę o informacje, jak szkoli się uczniów w rzemiośle i gdzie powinienem się zgłosić w celu załatwienia sobie nauki u introligatora.

Zbyszek z Nysy

Szkolenie w rzemiośle odbywa się na podstawie umowy o naukę, zawartej między rzemieślnikiem-mistrzem a uczniem i jego opiekunem prawnym. Nauka rzemiosła trwa od 24 do 42 miesięcy, zależnie od obranego zawodu, a uczniowie otrzymują wynagrodzenie za pracę wg obowiązujących przepisów.

W zakładzie rzemieślniczym uczeń zdobywa umiejętności praktyczne, biorąc bezpośrednio udział w wytwarzaniu wyrobów lub w procesie świadczenia usług.

Oprócz praktycznej nauki zawodu uczeń ma obowiązek uczęszczać do zasadniczej szkoły zawodowej dokształcającej, bądź na kursy w ośrodkach dokształcania zawodowego.

W zasadniczych szkołach zawodowych dokształcających uczniowie rzemiosła uczą się jęz. polskiego, matematyki, fizyki, rysunku zawodowego, maszynoznawstwa, materiałoznawstwa, technologii i innych przedmiotów zawodowych.

Ukończenie nauki praktycznej w zakładzie rzemieślniczym i ZSZD jest równorzędne z ukończeniem ZSZ.

Absolwent nauki rzemiosła po zdaniu egzaminu czeladniczego może kontynuować naukę w technikum (na podbudowie ZSZ) lub doskonalić swoje umiejętności w zakładzie rzemieślniczym. Dwuletnia praktyka czeladnicza uprawnia do prowadzenia własnego zakładu rzemieślniczego, a po odbyciu 3-letniej praktyki można złożyć egzamin mistrzowski przed komisją izby rzemieślniczej.

Po szczegółowe informacje dotyczące nauki rzemiosła, zasad wynagradzania uczniów, pomocy socjalnej itp. zwrócić się należy do Rejonowego Cechu Rzemiosł Różnych.

MARZĘ O ZAWODZIE AKTORKI

W moim wieku tysiące dziewczyn marzy o zawodzie aktorki. Ja także chciałabym kiedyś grać w teatrze lub filmie. Wiem, że do tego zawodu trzeba mieć odpowiednie zdolności. Często biorę udział w różnych uroczystościach jako recytatorka. Ale nie wiem, co ja potrafię, bo samej ocenić siebie jest bardzo trudno. Dlatego chciałabym zagrać w filmie młodzieżowym, żeby wypróbować swe siły. Proszę, przyślij mi, redakcjo, adres jakiegoś reżysera, który reżyseruje filmy dla młodzieży. A jeśli to niemożliwe, napisz mi, jak dostać się do szkoły aktorskiej.

Elka z Jarosławia

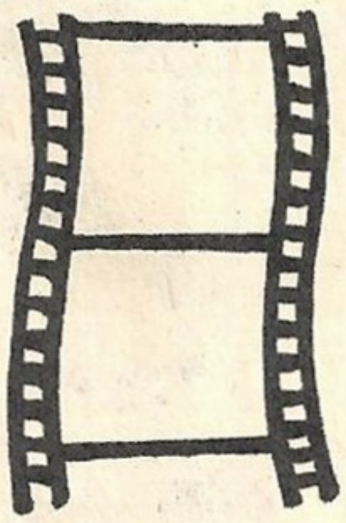

Kandydaci na Wydział Aktorski Wyższych Szkół Teatralnych (Krakow, Łódź, Warszawa) muszą mieć ukończoną szkołę średnią z maturą oraz posiadać warunki niezbędne do pracy aktorskiej. Są to: proporcjonalna budowa ciała, wyrazista twarz, doskonała wymowa (dykcja) i głos, słuch, wrażliwość muzyczna i utanecznienie, sprawność fizyczna, doskonałe zdrowie i wielka odporność psychiczna. Ponadto interesować się powinni literaturą oraz współczesnym życiem teatralnym i filmowym.

Zarówno bowiem predyspozycje kandydata, jak i jego wiedza i zainteresowania zostaną poddane surowej ocenie podczas konkursowego egzaminu wstępnego.

Nie wystarczy przeglądać się w lustrze i powtarzać: mam wszelkie dane, aby zostać gwiazdą filmu (teatru, estrady). Kto poważnie myśli o zawodzie aktorskim, już na wiele lat przed podjęciem studiów pracuje nad sobą. Czy w szkole średniej można się przygotowywać do przyszłego zawodu? Można.

Uczestnictwo w konkursach recytatorskich, w zajęciach kół teatralnych, nauka muzyki, tańca i rytmiki w szkole muzycznej lub ognisku muzycznym, rozwijanie zainteresowań humanistycznych (znajomość literatury polskiej i powszechnej, wiedza o sztuce, teatrze, filmie, języki obce) – wszystko to przybliża przyszłemu aktorowi czy aktorce realizację marzenia. Przybliża, ale nie zapewnia, gdyż jak się domyślasz, kandydatów do szkół aktorskich jest wielu (20–25 na jedno miejsce), a co roku do każdej ze szkół przyjmuje się około dwudziestu.

Oczywiście, w filmach występują również amatorzy, w tym dzieci i młodzież. Od czasu do czasu wytwórnie filmowe ogłaszają w prasie „zaciąg" do jakiegoś filmu, bądź też reżyserzy szukają w szkołach „nowych twarzy". Jest to więc czysty przypadek i łut szczęścia, by móc zagrać w filmie, gdy się ma kilka czy „naście" lat.

A Ty przecież nie myślisz o jednorazowej przygodzie, lecz pragniesz zdobyć zawód aktorki. Wymaga to więc, jak już powiedzieliśmy, wielkiej pracy nad sobą, i to już od dziś.

W WOZIE I POD WOZEM

Brat mojej koleżanki uczy się zawodu kierowcy mechanika. Podobno po skończeniu szkoły będzie mógł jeździć jako kierowca nie tylko na trasach krajowych, ale i zagranicznych.

Bardzo by mnie interesowała taka praca. Szukam o tym zawodzie informacji, ale nic nie mogę znaleźć.

Jeśli możesz, Płomyku; opisz mi, jak wygląda nauka w szkole samochodowej, na czym polega praca i gdzie w województwie katowickim znajdują się szkoły dla kierowców. Chciałabym też wiedzieć, czy jest to zawód dla dziewczyny. Z góry dziękuję za odpowiedź.

Joanna z Gierałtowic

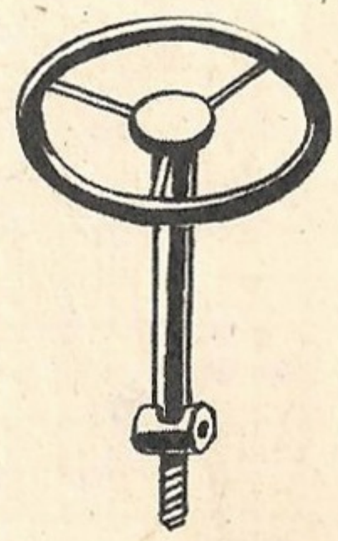

Do zawodu mechanika-kierowcy pojazdów samochodowych przygotowują 3-letnie Zasadnicze Szkoły Zawodowe lub ZSZ przyzakładowe PKS i innych przedsiębiorstw posiadających tabor samochodowy. Szkół takich jest bardzo dużo w województwie katowickim, a dokładne adresy znajdziesz, Joasiu, w „Informatorze o szkołach zawodowych dla absolwentów szkół podstawowych 1979–1980".

Myślę jednak, że z tych adresów skorzystają raczej Twoi koledzy z klasy, gdyż zawód kierowcy-mechanika jest odpowiedni dla chłopców i oni tylko mają szansę dostać się do szkoły samochodowej, jeśli oczywiście przejawiają odpowiednie uzdolnienia i zainteresowania techniczne.

W szkole poznają przedmioty zawodowe, takie jak: materiałoznawstwo, maszynoznawstwo, elektrotechnika, przepisy ruchu drogowego, technologia, eksploatacja pojazdów samochodowych i in. Podczas zajęć praktycznych uczą się ręcznej i mechanicznej obróbki metali, spawania i naprawy zespołów samochodowych. Mają też okazję opanować doskonale umiejętność kierowania pojazdami samochodowymi w rozmaitych warunkach drogowych.

Zdobyte w szkole umiejętności praktyczne i wiedzę teoretyczną zużytkują w przyszłości bądź bezpośrednio przy obsłudze samochodów jako kierowcy, bądź w zakładach naprawczych taboru samochodowego.

Do podstawowych czynności mechanika-kierowcy należy techniczna obsługa pojazdów, ich konserwacja i naprawa. Są to zadania skomplikowane i wymagające dużego wysiłku fizycznego. Zabezpieczanie części mechanizmów przed korozją, regulacja pracy zespołów silnika, układu kierowniczego, wymiana lub naprawa części pojazdu – to niektóre czynności mechanika, wykonywane w różnych pozycjach, w zetknięciu ze szkodliwymi często cieczami i gazami. Wszystkie też wymagają dokładności, wręcz skrupulatności, znacznych umiejętności technicznych i po prostu zamiłowania.

Uczniowie ZSZ osiągający bardzo dobre wyniki w nauce mogą kontynuować naukę w technikach samochodowych na podbudowie ZSZ, a po zdaniu matury ubiegać się o przyjęcie na wyższe uczelnie techniczne.

Wszystkim chłopcom, zainteresowanym nauką w szkołach samochodowych, kolejowych i drogowych, polecamy książeczkę z serii „Poznajemy zawody" pt. „Transport i komunikacja".

PRZYRODA
I
TECHNIKA
WOKÓŁ
NAS

SERIA
KSIĄŻEK
DLA
CIEKAWYCH

PRZYRODA
I
TECHNIKA
WOKÓŁ
NAS

SERIA
KSIĄŻEK
DLA
CIEKAWYCH

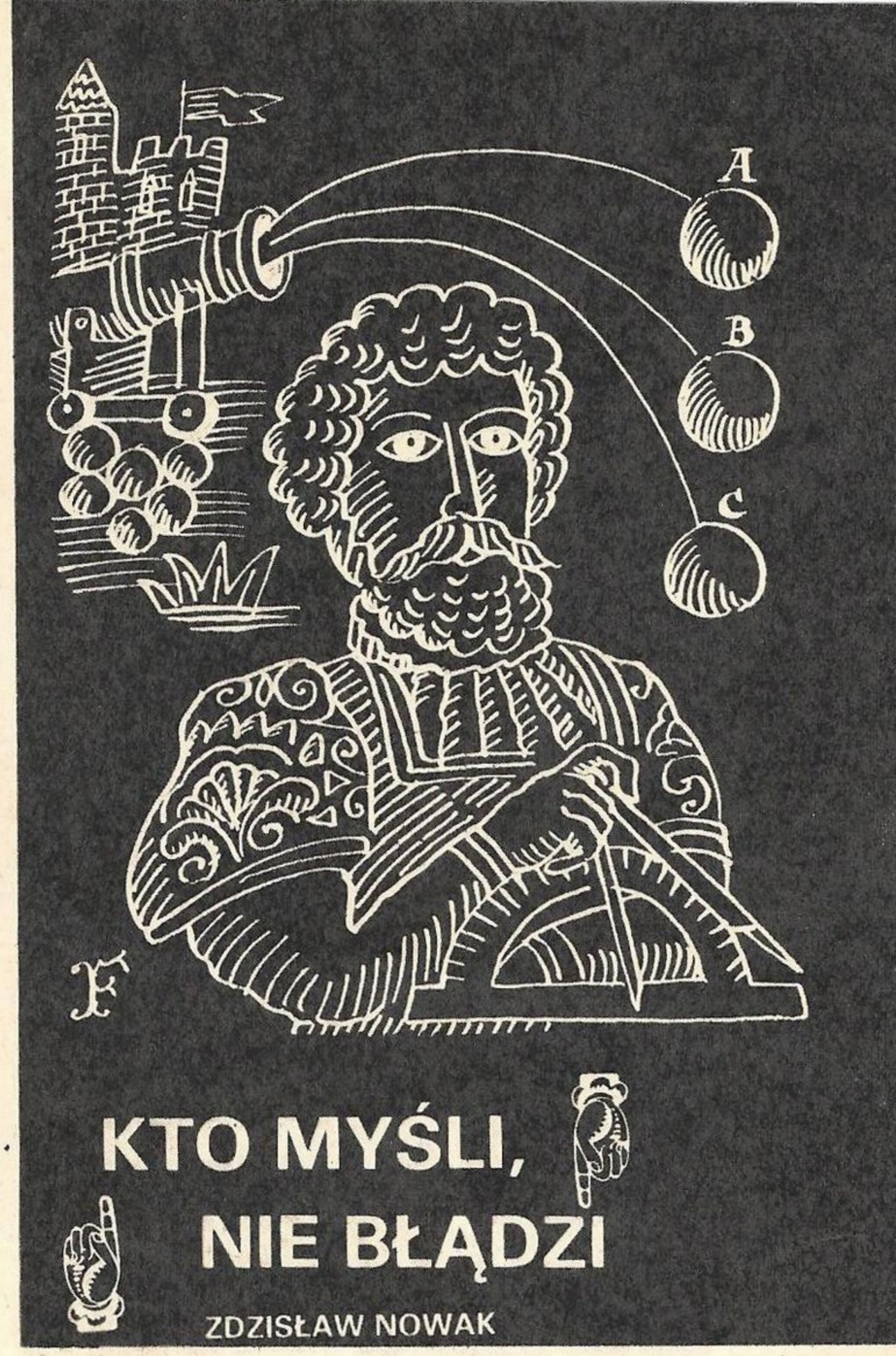

KTO MYŚLI, NIE BŁĄDZI

ZDZISŁAW NOWAK

ZADANIE Z ANEGDOTĄ

Zagadka Wielkiego Jąkały

W pierwszej połowie XVI stulecia żył we Włoszech człowiek imieniem Nicolo Fontana, zwany przez wszystkich Tartaglią, z pewnością jedna z barwniejszych sylwetek w historii matematyki. Człowiek o niezwykłym życiorysie. I to zaczynającym się dramatycznie już od dzieciństwa.

W roku 1512, po długotrwałym oblężeniu Brescii przez wojska Francuzów, gród został zdobyty. Obrońcy wraz z rannymi i dziećmi schronili się za murami katedry w nadziei, że na terenie świątyni znajdą ocalenie. Na próżno. Francuscy żołdacy wyłamali wrota kute stalą, wdarli się do środka. Rozpoczęła się rzeź. Okrutna rozprawa nad niewinnymi...

Nad ranem matka Nicolo odnalazła nieprzytomnego chłopca pod zwłokami męża. Ciężko rannemu w szyję dziecku życie ocalił zręczny cyrulik, parający się również puszczaniem krwi, nastawianiem złamanych kości i opatrywaniem ran. Następstwo zranienia pozostało młodemu Nicolo Fontanie na zawsze. Mówił z najwyższym trudem, jąkał się. Ludzie nazwali go więc Tartaglią (tartaglia po włosku oznacza właśnie jąkałę).

Nie pod właściwym nazwiskiem, lecz pod tym przybranym – z którego był zresztą dumny i nigdy go się nie wyparł – Nicolo Tartaglia zasłynął w ówczesnym świecie jako mąż przeogromnej wiedzy. Opublikował drukiem dzieła poświęcone arytmetyce, licznym problemom z geometrii i algebry. A także balistyce (czyli nauce o locie pocisków), artylerii i sztuce fortyfikacji –

umiejętnościom niezwykle ważnym w stuleciu ciągłych wojen, najazdów i starć przygranicznych.
Zgodnie z panującymi wówczas zwyczajami „Wielki Jąkała" wędrował po ośrodkach uniwersyteckich Włoch, gdzie uczestniczył w turniejach matematycznych z udziałem sław naukowych. Wychowany w niedostatku jedynie przez matkę, prostą, ubogą kobietę, której nie stać było na posyłanie chłopca do szkoły, każdą wolną chwilę spędzał nad książkami. Sprzątał w bibliotekach, pomagał urzędnikom tylko po to, by móc korzystać z mądrości zapisanych na pergaminowych stronicach. Ten genialny samouk nie doceniany przez wielu, stawił potem śmiało czoło profesorom uniwersytetów opromienionych wielkim rozgłosem. I najczęściej... wygrywał.

W czasie jednego z takich turniejów odbywających się w Weronie Nicolo Tartaglia zadał zagadkę matematyczną gronu profesorów i studentów, miłośników sztuki rozumowania:
– Kto z was, o mistrzowie biegli w myśleniu, zdoła odpowiedzieć na pytanie, trapiące mnie od rana? Gdyby połowa 5 równała się 3, to ile wynosiłaby trzecia część 10? Pomyślcie i pośpieszcie mi z pomocą. Jeśli potraficie.

* * *

Oczywiście Tartaglia znał prawidłową odpowiedź. Może więc i wam uda się odtworzyć rozumowanie „Wielkiego Jąkały", aby odnaleźć rozwiązanie niezwykłej zagadki?

(Now)

KTO MYŚLI NIE BŁĄDZI

ZADANIE DLA TĘGICH GŁÓW

ZAGADKA PRAWIE SZACHOWA

Na polach tej oto 64-polowej planszy znajdują się trzy figury o ruchach hetmanów szachowych (a więc mogących przesuwać się poziomo, pionowo lub ukośnie na dowolną odległość), przy czym żadna z nich w podanym układzie nie atakuje drugiej. Czy potraficie wskazać pola, na których można ustawić jeszcze pięć figur o tych samych ruchach, naturalnie, z zachowaniem dotychczasowej, bezkonfliktowej sytuacji? ▶

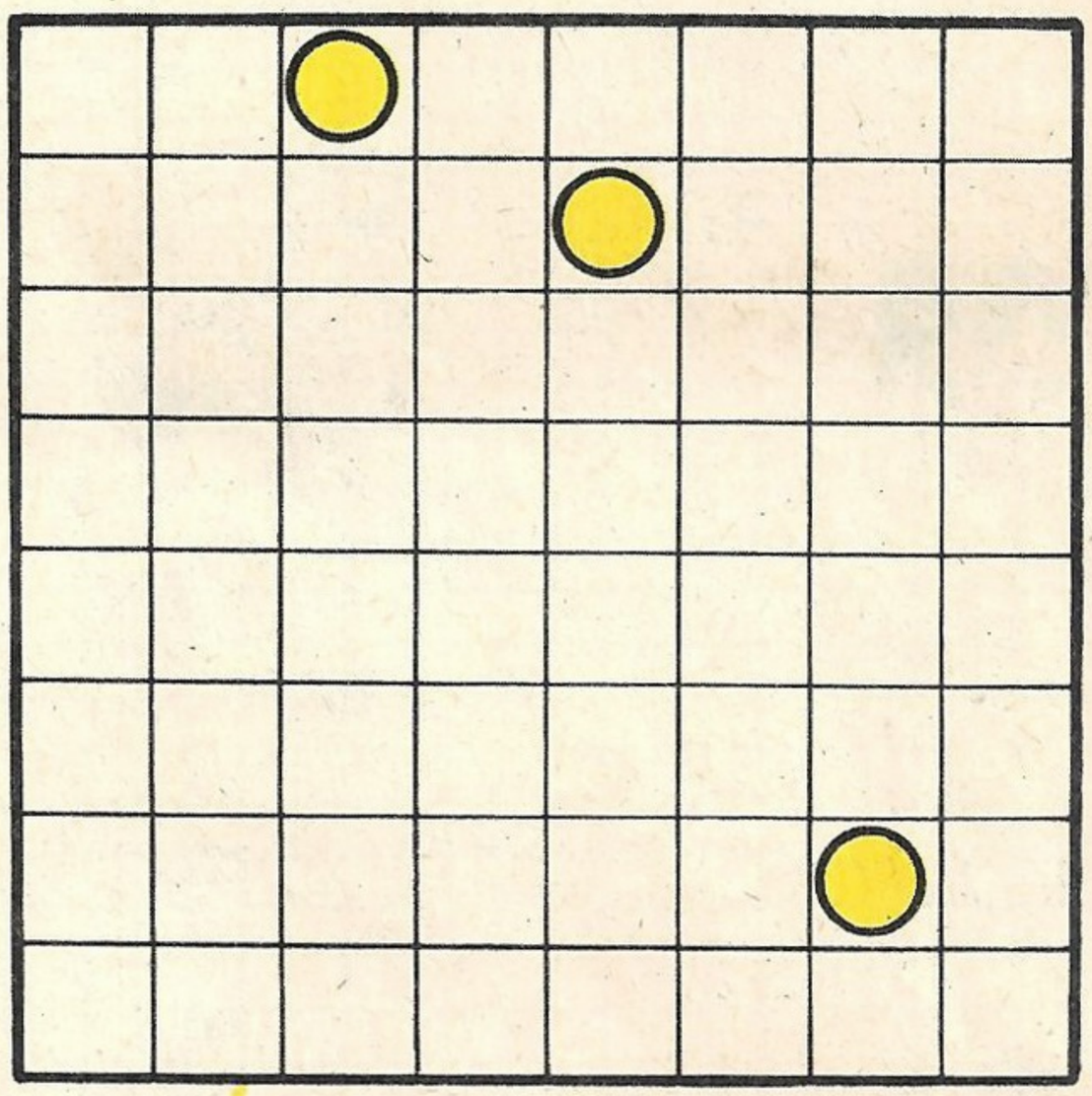

KTO MYŚLI NIE BŁĄDZI

ZADANIE DLA KAŻDEGO

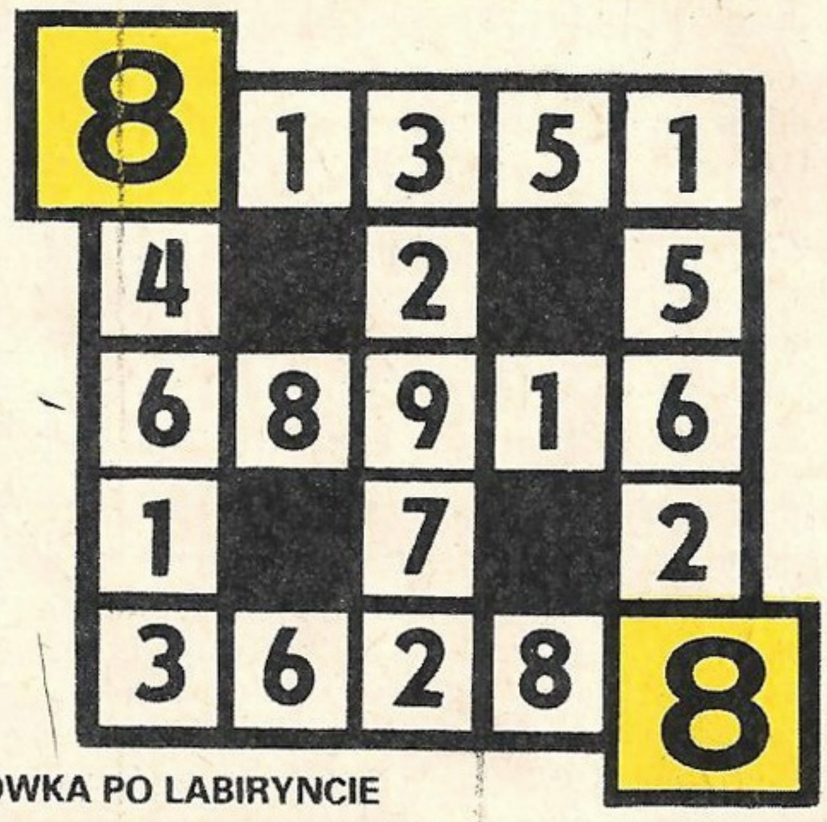

WĘDRÓWKA PO LABIRYNCIE

Dzisiaj przed wami łamigłówka labiryntowa wymagająca odrobiny cierpliwości. Od większego pola z cyfrą 8 (w lewym górnym rogu) do drugiego identycznego pola (tego u dołu rysunku) trzeba przejść kolejno przez dziewiąć takich pól, w których suma liczb wyniesie 60. Oczywiście, pole startowe oraz końcowe – będące przecież etapami poszukiwanej drogi – składają się również na ową sumę.

UWAGA! Za trafne rozwiązanie zagadek z nru 21 „Płomyka" nagrody książkowe otrzymują: Jolanta Bujanowska (Gorzów Wlkp.), Małgorzata Bochenek (Wrocław), Wojciech Czerwonka (Lublin), Zofia Dąbrowska (Zbąszyń), Małgorzata Dudek (Lublin), Cezary Galiński (Gliwice), Eugenia Koniarek (Gorzyce Małe), Xymena Nippold (Poznań), Joanna Pochylska (Witkowo), Joanna Wróbel (Karlina).

Rozwiązania zadań z tej i poprzedniej strony prosimy nadsyłać pod adresem Redakcja „Płomyka", ul. Spasowskiego 4, skr. poczt. 380, 00-950 Warszawa. Na kopercie obok adresu piszcie: „Kto myśli, nie błądzi".

ROZWIĄZANIA Z NRU 21

Krzyżówka. **Poziomo**: 1) bidon, 5) kojot, 8) Orawa, 9) tenis, 10) suwak, 11) zakaz, 12) morze, 15) Akron, 18) dno, 20) kimono, 21) kolarz, 22) kra, 24) nasyp, 27) farsz, 30) rupia, 31) garda, 32) gąbka, 33) sarna, 34) sakwa, 35) sosna. **Pionowo**: 1) Bytom, 2) denar, 3) nosze, 4) balkon, 5) kasza, 6) jawor, 7) tukan, 13) Oliwa, 14) złoty, 16) kolia, 17) okres, 18) dok, 19) Oka, 23) raport, 24) nagus, 25) smrek, 26) prasa, 27) fagas, 28) rebus, 29) zjawa.

W poszukiwaniu trójkątów. Na podanym rysunku ukrywało się aż 21 trójkątów różnej wielkości i barwy.

Mam zniszczone, szorstkie dłonie i dlatego bardzo krępuję się iść na jakąkolwiek zabawę. Czy można na to coś poradzić. *Zaniedbana*

Pewnie zimą nie nosisz rękawiczek, a ręce źle znoszą chłód i stają się zaczerwienione i szorstkie.

Spróbuj wieczorem, po umyciu, wetrzeć w dłonie dosyć grubą warstwę tłustego kremu, załóż na noc bawełniane rękawiczki i śpij w nich do rana. Wynik będzie dla Ciebie zaskoczeniem. Skóra na dłoniach stanie się miękka. Sposób wypróbowany!

Jak być ładną, przynajmniej w ten jeden, jedyny wieczór, kiedy nam zależy, by się komuś i sobie podobać, aby nasza cera była aksamitna, nos nie błyszczał? – pytają w listach dziewczęta.

Szorstka, nadmiernie przesuszona cera nabiera jedwabistego wyglądu pod wpływem maseczki z ziemniaków. Trzy surowe, zdrowe kartofle utrzyj na tarce, zagęść niewielką ilością mąki i rozprowadź równą warstwą na umytej twarzy. Po 20 minutach zmyj letnią wodą. Błyszczący nos przestanie „świecić", jeśli przetrzesz go kilka razy w ciągu dnia octem z jabłek rozcieńczonym wodą.

Tort kanapkowy

Okrągły bochenek chleba, najlepiej z poprzedniego dnia, okrawamy ze skóry. Przecinamy bochenek trzykrotnie w poprzek, otrzymując w ten sposób duże plastry, które smarujemy różnymi pastami. Aby „tort" wypadł barwnie i apetycznie, dobieramy pasty nie tylko pod względem smaku, ale i koloru. Po złożeniu tortu przyciskamy go lekko, żeby poszczególne warstwy przylgnęły do siebie i następnie dekorujemy. Smarujemy całość kolorową masą i układamy wykrajane ozdobne kawałki żółtego sera posypane papryką lub ozdobione pastą pomidorową, pokrajane jajko na twardo, plasterki cytryny, połówki orzechów włoskich. Boki obsypujemy zieleniną. Tort kanapkowy podajemy na okrągłym półmisku krając go na trójkątne kawałki.

A oto kilka propozycji past kanapkowych:

- półtorej łyżki masła ucieramy z dodatkiem posiekanej zielonej pietruszki. Doprawiamy do smaku solą i sokiem z cytryny. Pastą tą możemy posmarować wierzch i boki tortu,
- pudełko twarożku homogenizowanego mieszamy z przecierem pomidorowym (2 łyżeczki) i doprawiamy do smaku solą i roztartym ząbkiem czosnku (można dodać zamiast świeżego czosnku sól czosnkową),
- pół małej cebuli i ogórek konserwowy drobno siekamy i ucieramy z 15 dag bryndzy, dodajemy łyżkę śmietany. Całość zabarwiamy kilkoma kroplami soku z buraka czerwonego,
- 2 jaja ugotowane na twardo siekamy i ucieramy z pokrajanym filetem śledziowym z konserwy (śledz w oleju) dodając trochę oliwy z puszki,
- resztki pieczonego mięsa lub wędlin drobno siekamy i ucieramy z łyżką masła.

Co zrobić, by dobrze się bawić na szkolnej zabawie lub na prywatce. Jak się ubrać?
Anita i „paczka"

Moja koleżanka kupiła błyszczącą, atłasową podszewkę w kolorze ciemnoniebieskim i twierdzi, że dziewczyna roku 1980 powinna na zabawie błyszczeć. Jak z tym naprawdę jest? Nie zachwycam się obecną modą, ale nie chciałabym być w tyle. *Zenka ze Zgierza*

Czy mogę pójść na imieninowe przyjęcie w pięknym, rozpinanym swetrze. Włożę koszulę i krawat. Sympatia mi to odradza. *Bohdan*

Te trzy listy, które wybraliśmy do druku, świadczą o tym, że sprawy wieczorków tanecznych, samopoczucie na zabawie i dobór świątecznej garderoby – żywo interesują większość nastolatków.

Zabawa w stylu młodzieżowym, przy magnetofonie, przy coca-coli i lemoniadzie lub sokach owocowych, na pewno będzie udana, jeśli potraficie wytworzyć odpowiedni nastrój. Powinno być dużo pogodnego humoru, dowcipnych zabaw typu quizów, gier ruchowych, a nie tylko same tańce. To znakomicie pomaga w rozluźnieniu i sprawia, że dobrze się wszyscy czują. A strój?... Na zabawy młodzieżowe każdy przychodzi w tym, co ma, co lubi, w czym dobrze się czuje. Nie znaczy to, że ubranie może być niedbałe, nieporządne. Można tańczyć w dżinsach, w sukience, można być w swetrze, blezerze, choć wiemy, że każda z Was ma jakąś spódnicę lub sukienkę na uroczyste okazje. Sprawa doboru części stroju b. ważna. Obecnie modne są bluzki z atłasu z małymi kołnierzykami na stójce, „podrzucone" w talii, z szerokimi rękawami, zmarszczonymi przy mankiecie. Pod kołnierzykiem wiążemy na supełek aksamitkę (czarną, bordo, różową), w zależności od koloru spódnicy. Bluzka z dekoltem w serek też wygląda dobrze, wówczas aksamitkę, złoty sznureczek czy sznur korali zawieszamy na gołej szyi.

„Błyszczenie", o jakim pisze Zenka, doradzamy na bardziej uroczystą zabawę, i też powinno być umiarkowane.

Zgrabne, wysokie, szczupłe dziewczyny mogą sobie pozwolić na uszycie spodni z błyszczącej, atłasowej podszewki. Inne, te które figury nie mają idealnej – niech ubiorą się w spódnice lub sukienki. Może być tylko błyszcząca bluzka, sportowe wdzianko, koszula typu męskiego. Modne są fufajki i kamizele. Mogą błyszczeć dodatki: własnoręcznie zrobiony pasek, lub malutka torebeczka. Do spodni nosimy podkoszulki bawełniane ufarbowane własnoręcznie na kolor, jaki nam pasuje do całości. Każdy strój można i trzeba wzbogacić własną inwencją. Chcecie przecież wyglądać inaczej niż inne dziewczęta, będąc jednocześnie ubrane zgodnie z duchem aktualnej mody.

Blezer-sweter rozpinany, o jakim pisze Bohdan, przy koszuli z krawatem (lub aksamitką – dla chłopców to też modne!) będzie wyglądał zupełnie dobrze. Taki sam sweter może służyć na inne okazje (wycieczka rowerowa itp., ale już w innej oprawie).

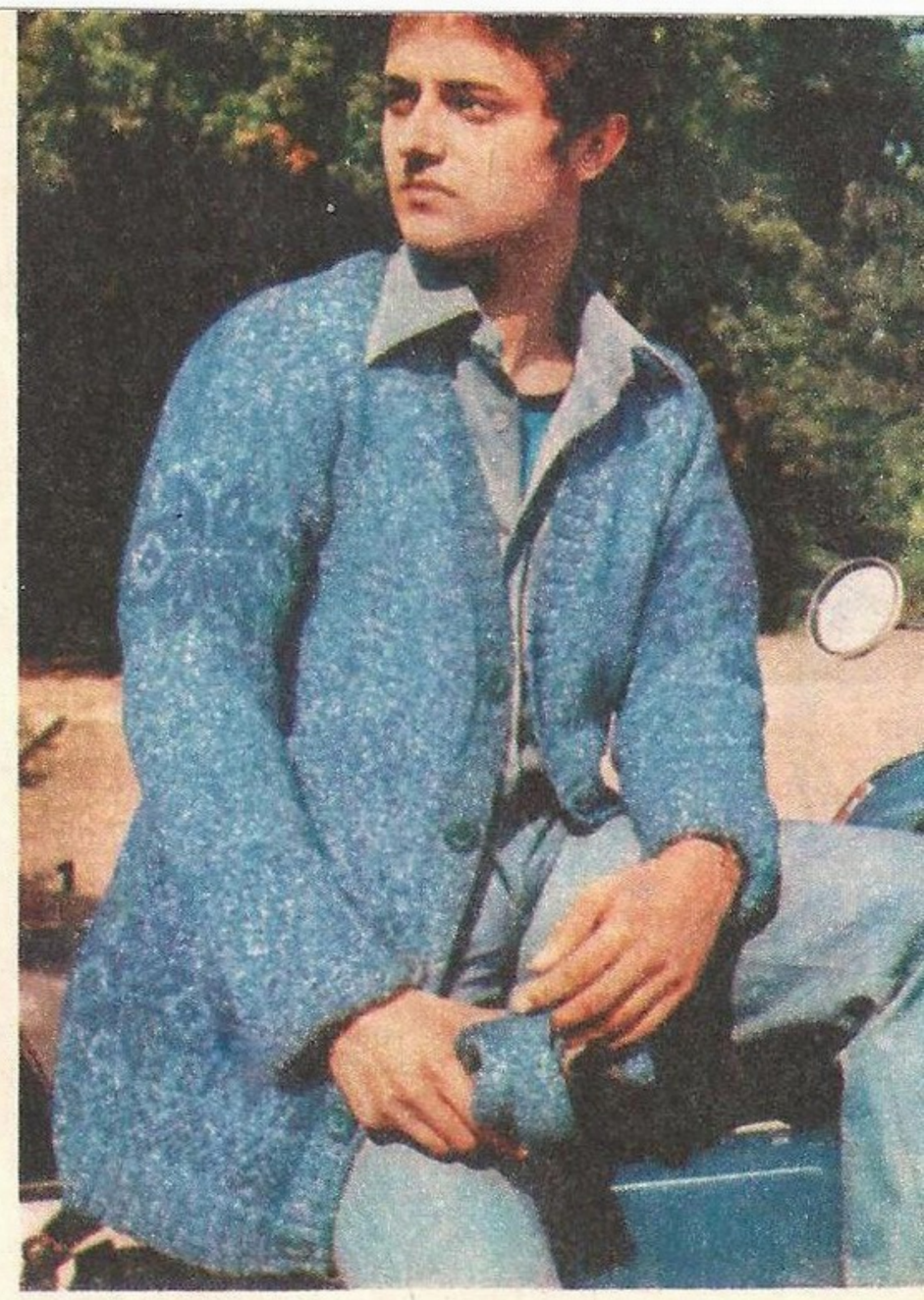

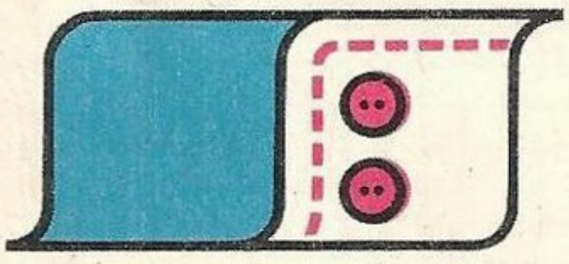

POCZTA »PŁOMYKA«

Praca czy nauka?

Jak dotąd, nie miałam żadnych kłopotów. Teraz jednak mam. Mam 14 lat i chodzę do klasy siódmej. W przyszłości pragnę zostać pielęgniarką. Z siódmej klasy ważne już są dobre świadectwa, a więc właśnie tego roku przyłożyłam się do nauki. Mam jednak dużo kłopotów, bo kiedy wezmę się do lekcji (co zabiera mi prawie dwie godziny), wtedy mama zaczyna krzyczeć, że nic nie robię, tylko „ślęczę" nad książkami, i że jak ona byłaby na moim miejscu, toby „zwariowała" od tego „ślęczenia". Kiedy ktoś przyjdzie do nas, to mama zaczyna opowiadać, że jestem taka – taka – aż wstyd mi o tym pisać. Mimo to przecież zawsze swoją część domowych obowiązków zrobię. Ale mama uważa, że to mało. Poradźcie mi, co mam zrobić, czy rzucić naukę i tylko pracować?

„Ika"

Słusznie, że przyłożyłaś się do nauki, myśląc o uzyskaniu dobrych stopni już w VII klasie. Jeśli odrabianie lekcji zajmie Ci nawet trzy godziny dziennie – to i tak wystarczy czasu na pomoc w domu. Czy rodzice są przeciwni Twoim planom na przyszłość? A może im jeszcze nic nie mówiłaś na ten temat? Życzymy Ci wiele cierpliwości i wytrwałości. Na pewno dasz sobie radę i z nauką, i z domowymi obowiązkami.

Dorosłam do wieczornych filmów

Mam 13 lat, uczę się dobrze, ale mam ogromny problem. Moi rodzice uważają, „że „dziecko" w moim wieku powinno o ósmej już spać. Natomiast moi koledzy i koleżanki oglądają filmy TV po dzienniku, a niektórzy nawet kina nocne. Jestem jedyna w klasie, która nie może oglądać filmów. Można pomyśleć, że jestem inna od wszystkich, że jestem ślamazarna, mała, nic nie rozumiem, ale to nieprawda – jest na odwrót. Proszę o wydrukowanie mojego listu i odpowiedzi, w jaki sposób mam przekonać rodziców (jestem bardzo nieśmiała) o tym, że już naprawdę dorosłam . do wieczornych filmów.

Mała Ewa

Nikomu z nastolatków nie radzimy stale oglądać wieczornych filmów w TV, a już w żadnym wypadku – nocnych. I nawet nie dlatego, że do wielu z nich jeszcze „nie dorośli", lecz po prostu dlatego, że nie można dzień po dniu tyle czasu poświęcać na telewizję. Natomiast uważamy, że każdy nastolatek powinien od czasu do czasu uzyskać pozwolenie na obejrzenie odpowiedniego dla niego wieczornego filmu. Jeśli wydaje Wam się, że rodzice traktują Was zbyt dziecinnie (a skłonność do wydłużania dzieciństwa mają wszyscy najbardziej troskliwi ojcowie i matki) – poproście o wstawiennictwo kogoś z dorosłych zaprzyjaźnionych z rodzicami. Czasem (choć nie zawsze) spojrzenie i głos kogoś z boku – pomaga dostrzec rodzicom w dziecku – nastolatka.

W szkole nas nie lubią...

Jesteśmy przyjaciółkami od dwóch lat, nasza przyjaźń jest prawdziwa. Przetrwała już wiele prób. Ale w szkole nas nie lubią. Nikt. Nawet nauczyciele. Przypuszczamy, że to koleżanki zazdroszczą nam naszej przyjaźni i dlatego odnoszą się do nas z wyższością. Ostatnio moja koleżanka nie była w szkole z powodu choroby, ja również nie przyszłam tego dnia. Gdy nazajutrz obydwie zjawiłyśmy się, koleżanki oświadczyły nam, iż wychowawczyni nas przesadzi. Rzeczywiście, uczyniła to twierdząc, że rozmawiamy. A przecież dziewczęta z sąsiedniej ławki jeszcze gorzej się zachowywały. Teraz koleżanki usiłują zepsuć naszą przyjaźń. Ale my postanowiłyśmy jeszcze więcej ze sobą spacerować, robiąc im na złość. Uważamy, że jeżeli nasza przyjaźń jest prawdziwa, to przetrwa i tę próbę. Czy dobrze myślimy?

Przyjaciółki

Zastanówcie się, czy nie zanadto izolujecie się od reszty klasy. Nawet największa przyjaźń nie powinna przeszkadzać w utrzymywaniu dobrych stosunków z innymi ludźmi. Wasze koleżanki postępują niesłusznie, ale chyba same je do tego prowokujecie.

Czy to zazdrość?

Mam w klasie koleżankę, z którą łączy mnie serdeczna przyjaźń. Jesteśmy bardzo do siebie podobne nie pod względem urody, ale upodobań i wspólnych zainteresowań. Ta nasza przyjaźń nie podoba się innym koleżankom z klasy. Nie wiemy dlaczego, bo my ich nie unikamy, natomiast one wyraźnie unikają nas, plotkują na nas i uważają, że my „podrywamy" chłopców. Może to zazdrość, bo rzeczywiście kilku chłopców w klasie chętnie przebywa w naszym towarzystwie, na przerwach, w kinie czy na zabawie. Ale my przecież nie zabiegamy o ich względy, dlaczego więc koleżanki tak nas nie lubią?

Jola

Nie wiemy, czy chodzi tu tylko o względy chłopców, czy też są inne jeszcze powody, dla których koleżanki z klasy nie darzą Was sympatią. Może zbyt mocno akcentujecie swoją odrębność od reszty klasy?

Mąciwoda

Jesteśmy obecnie uczniami VII klasy. W tym roku przyszła do nas nowa uczennica – Beata. Gdy poznała trochę bliżej parę dziewczyn, zaczęła je namawiać, by nie rozmawiały z chłopcami. Zauważyliśmy to i staraliśmy się temu zapobiec, ale nie bardzo nam się udało. Przez Beatę klasa podzieliła się na obozy, wybuchło też przez nią wiele niepotrzebnych kłótni między dziewczynami a chłopcami. Czy przez jedną Beatę nasza dotychczas zgrana i solidna klasa musi się stać ponura, skłócona i nieprzyjemna?

Chłopcy z VII kl.

Nie musi i nie powinna. Ale coś z tym zgraniemi solidarnością klasy musiało nie być najlepiej, jeśli pozwoliliście się wodzić za nos nowej koleżance, która – jak widać – ma usposobienie mąciwody.

Przyjaciółka – terrorystka

W wakacje w ubiegłym roku poznałam dość miłego chłopca imieniem Marek. Przyjechał on do swojej ciotki na wakacje. W domu, w którym mieszkał, mieszkała też moja rówieśnica Halina, z którą chodzę do jednej klasy. Marek był wesołym i fajnym chłopcem. Dziewczyny traktował na równi z chłopcami. Polubiłam go bardzo. Spotykaliśmy się codziennie. Dla niego byłam zwyczajną dziewczyną, ale on znaczył dla mnie więcej niż dobry kolega. Pewnego dnia Marek nie przyszedł na spotkanie. Początkowo myślałam, że mu coś wypadło, ale później dowiedziałam się od Haliny, że Marek wyjechał. Zapytałam ją, czy nie zostawił żadnej kartki. Powiedziała, że tak, ale ją zgubiła. Nie wiedziałam, co mam robić. Myślałam, że się rozpłaczę, ale w porę się powstrzymałam. Wtedy Halina zapytała mnie, czy chcę jego adres. Adres oczywiście wzięłam, a po powrocie do domu zaraz napisałam do Marka. Kiedy otrzymałam list od niego, zabrała mi go Halina i powiedziała, że odda dopiero wtedy, jak jej dam przeczytać. List przeczytała, a ja myślałam, że na tym poprzestanie. Myliłam się jednak. Teraz zaczęła czytać wszystkie moje listy, nawet te nie od Marka, i zaczęła też ściągać. Nie było takiego dnia, żeby Halina nie wyjęła zeszytu z mojej teczki i nie ściągała. Kiedy jej mówię, że tak nie wolno – to ona zaraz się gniewa. Poradźcie, co ja mam robić, żeby Halina nie czytała moich listów i nie ściągała.

„Anna"

Zbyt ulegasz Halinie, która wykorzystuje Twoją słabość i coraz bardziej wymusza na Tobie posłuszeństwo i uległość. Musisz zdobyć się na stanowczość i przestać się godzić na wszystko. Trudno nazwać przyjaźnią taki układ pomiędzy dwiema osobami, w którym tylko jedna ma coś do powiedzenia, a druga musi potulnie słuchać.

Długopisy surowo wzbronione?

U nas w szkole od klasy I do VIII wszyscy muszą pisać piórami wiecznymi. Pióra leją, plamią książki i zeszyty. Rozpacz nas bierze. Kto ma długopis – to długopis zaraz trafia w piec. „Płomyku", ratuj nas, bo zginiemy! Odpisz, czy nam wolno pisać długopisami, bo nam wstyd tych plam i mamy prawdziwą katorgę. Inni z innych szkół śmieją się z nas.

Rysiek z woj. krośnieńskiego

Rzeczywiście, Wasza szkoła jest chyba jedyną w Polsce, gdzie zabrania się używania długopisów. Ale Twój list do nas, napisany wiecznym piórem, nie jest ani poplamiony, ani pomazany. Jak z tego widać, również wiecznym piórem można ładnie pisać. Ci, którzy sami nie używali jeszcze w szkole długopisów, uważają, że właśnie długopisy mażą i bazgrzą. Naszym zdaniem, wszystko zależy od staranności osoby piszącej. Tego samego zdania są też władze szkolne i dlatego nie zabraniają używania długopisów.

giełda HOBBISTÓW 161

1. *Barbara Banasik*, lat 13, piosenki, język angielski – ul. 1-go Maja 8, 18-305 Szumowo
2. *Helena Bari*, lat 13, roboty ręczne, moda, teksty piosenek – 36-203 Izdebki 28,
3. *Grażyna Bartnik*, lat 10, widokówki, filatelistyka – ul. 16-go Stycznia 29b m 45, 97-500 Radomsko
4. *Dorota Berbec*, lat 11, widokówki, naklejki, sport – ul. Dembowskiego 8 m 70, 20-130 Lublin
5. *Barbara Bielecka*, lat 13, filatelistyka, fotosy aktorów – Giże 11, 19-411 Świętajno
6. *Radosław Bielecki*, lat 13, sport, pocztówki, znaczki – ul. Towarowa 26, 23-200 Kraśnik Lubelski
7. *Ewa Bochno*, lat 14, matematyka, pocztówki ze zwierzętami – Jarnołtowo 34, 14-332 Połowite
8. *Urszula Bodziony*, lat 15, szydełkowanie, znaczki, fotosy piosenkarzy – Gostwica 182, 33-386 Podegrodzie
9. *Elżbieta Bogiel*, lat 13, muzyka, historia, maskotki – ul. Wąska 12, 96-515 Teresin k.Warszawy
10. *Zofia Bołaz*, lat 14, muzyka, sport, widokówki – ul. Słotwińska 47, 33-380 Krynica Górska
11. *Małgorzata Boniecka*, lat 11, widokówki, znaczki – Głogowo, 87-123 Dobrzejowice
12. *Elżbieta Brzozowska*, lat 14, filatelistyka, wróżby, szydełkowanie – ul. Świerczewskiego 17, 18-210 Szepietowo
13. *Małgorzata Cichoracka*, lat 13, jęz. rosyjski, książki, fotosy aktorów – ul. Szkolna 2, 88-430 Janowiec Wlkp.
14. *Grażyna Cipielewska*, lat 14, filatelistyka, biologia – ul. Stawowa 2b m 1, 15-556 Białystok
15. *Małgorzata Czaplicka*, lat 15, muszle, suszone kwiaty – ul. Kolejowa 65, 07-410 Ostrołęka
16. *Agnieszka Dębska*, lat 12, książki, kwiaty doniczkowe – ul. Asnyka 4 m 88, 43-300 Bielsko Biała
17. *Anna Duzinkiewicz*, lat 15, muzyka, historia starożytna – ul. Mickiewicza 12 m 8, 75-004 Koszalin
18. *Krzysztof Dziarmaga*, lat 14, sport, majsterkowanie – Zerniki Górne, 28-129 Szczaworyż
19. *Wioletta Fojt*, lat 13, literatura piękna, projektowanie mody – ul. Słoneczna 1, 56-160 Wińsko
20. *Marzena Forkasiewicz*, lat 13, geografia, biologia, kalkomania – ul. Zachodnia 3, 28-200 Staszów
21. *Anna Graczyk*, lat 15, biologia, muzyka, sport – ul. Mendelejewa 31, 01-482 Warszawa
22. *Małgorzata Greń*, lat 15, moda, taniec towarzyski – osiedle XXV-lecia PRL b. 2 m 22, 43-460 Wisła
23. *Urszula Gruca*, lat 14, humor, widokówki – ul. Nad Łąkami 24, 44-110 Gliwice
24. *Małgorzata Hampel*, lat 14, medycyna, jęz. francuski, widokówki – ul. Wrocławska 75 m 6, 58-309 Wałbrzych
25. *Małgorzata Jabłońska*, lat 15, I i II wojna światowa – ul. Rynek 1, 96-134 Jeżów
26. *Beata Jakubowska*, lat 14, chemia, biologia, wazoniki – ul. Wrzesińska 22 m 4, 62-200 Gniezno
27. *Sławomir Janusz*, lat 11, prospekty i modele samochodów, filatelistyka – ul. Jagiellońska 30 m 4, 06-570 Iłowo
28. *Agata Jaworska*, lat 15, harcerstwo, muzyka, chemia – ul. Białych Kłonów 7 m 1, 33-101 Tarnów
29. *Grażyna Jodko*, lat 13, turystyka, filatelistyka – Litewska SRR, Wilno 232044, ul. Karoliniszkin 50-128
30. *Elżbieta Jurga*, lat 11, sport, fotosy piosenkarzy – Tatary 8, 07-420 Kadzidło
31. *Jadwiga Kabiesz*, lat 14, sport, muzyka, widokówki – ul. Zamarska 444, 43-400 Cieszyn
32. *Agata Kasperek*, lat 11, herby, kalkomanie, widokówki – 63-813 Szelejewo
33. *Beata Kołtun*, lat 13, poezja, gitara, przepisy kulinarne – ul. Pocztowa 6 m 29, 78-500 Drawsko Pomorskie
34. *Marta Kominowska*, lat 11, książki, widokówki, kalkomania – ul. Wolności 38, 62-404 Ciążeń
35. *Renata Konieczna*, lat 14, moda, wróżby, widokówki – ul. A. Fredry 13, 48-303 Nysa
36. *Agata Kosmatka*, lat 13, proorczyki miast, filatelistyka – Strzyboga 20, 96-115 Skierniewice
37. *Agnieszka Krapisz*, lat 11, historia, muzyka, sport – ul. Sady Żoliborskie 7a m 3, 01-772 Warszawa
38. *Beata Lewicka*, lat 13, widokówki, moda, fotosy piosenkarzy – ul. Koczaskiego 51 m 21, 94-039 Łódź
39. *Alicja Łosiew*, lat 14, widokówki, znaczki – 78-460 Barwice
40. *Jolanta Łukjaniuk*, lat 12, moda, filatelistyka – ul. Broniewskiego 8c m 91, 15-748 Białystok
41. *Bożena Maruszewska*, lat 13, matematyka, widokówki – ul. Mickiewicza 12 m 18, 11-300 Biskupiec
42. *Alicja Matyjas*, lat 11, geografia, film, turystyka – ul. Sikorskiego 38b m 17, 64-700 Czarnków
43. *Wojciech Minicz*, lat 13, proporczyki, samochody – al. Kościuszki 4 m 29, 33-100 Tarnów
44. *Marek Morawiec*, lat 12, filatelistyka, chemia – ul. Jedwabna 160-b, 42-300 Myszków
45. *Barbara Mszyca*, lat 14, geografia, filatelistyka – Piła 61, 42-134 Truskolasy
46. *Renata Nowakowska*, lat 15, wiersze, maskotki – ul. Cicha 8 m 138, 26-600 Radom
47. *Artur Orzechowski*, lat 12, historia, muzyka, widokówki – ul. Warszawska 44, 21-225 Wisznice
48. *Małgorzata Papierz*, lat 14, wróżby, pocztówki – Polanowice 60, 32-266 Niedźwiedź
49. *Ireneusz Patrzykąt*, lat 14, modelarstwo lotnicze, UFO, widokówki – ul. Południowa 18 m 12, 99-200 Poddębice
50. *Jolanta Pietrzak*, lat 14, muzyka, filatelistyka – ul. Przemysłowa 9 m 54, 14-510 Orneta
51. *Wiesława Piwowarczuk*, lat 10, pocztówki, znaczki – Kowalowce 4, 16-060 Zabłudów
52. *Urszula Plona*, lat 10, widokówki, znaczki – ul. Kopernika 14, 07-420 Kadzidło
53. *Wiesław Plona*, lat 9, widokówki, znaczki – ul. Kopernika 14, 07-420 Kadzidło
54. *Katarzyna Płażek*, lat 13, widokówki, wróżby – ul. Bitwy pod Lenino 5 m 66, 31-029 Kraków
55. *Agata Płoska*, lat 10, znaczki, widokówki – ul. Sportowa 2, 07-420 Kadzidło
56. *Halina Podbielska*, lat 14, historia starożytna, muzyka współczesna – Babki k. Gołdapi, 19–506 Pogorzel
57. *Magdalena Pokora*, lat 15, sport, harcerstwo, pocztówki – ul. Kołobrzeska 20 m 45, 10-430 Olsztyn
58. *Jolanta Popek*, lat 12, proporczyki, widokówki – 22-113 Kamień
59. *Wanda Potok*, lat 13, muzyka, widokówki – Stróżówka 390, 38-300 Gorlice
60. *Anna Przybyło*, lat 14, film, wróżby, książki – ul. Chorzowska 47 m 2, 44-100 Gliwice
61. *Marek Przybyłowski*, lat 14, motoryzacja, nalepki, prospekty – ul. Obr. Pokoju 13c m. 8, 67-200 Głogów
62. *Katarzyna Przyrzycka*, lat 14, muzyka, widokówki, proporczyki – ul. Rydgiera 17 m 11, 87-100 Toruń
63. *Beata Raczek*, lat 14, płyty, widokówki – ul. Topolowa 4 m 5, 47-100 Strzelce Opolskie
64. *Monika Rokicka*, lat 11, znaczki metalowe, tarcze szkolne – ul. Ludowa 42d m. 36, 11-300 Biskupiec Reszelski
65. *Bożena Sadowska*, lat 15, tłuczniętwo, malarstwo – ul. 15 Grudnia 18a m 12, 48-340 Głuchołazy
66. *Beata Sałata*, lat 14, sport, taniec – Wola Wiśniewska 40, 28-216 Czajków
67. *Ewa Sas*, lat 11, widokówki, znaczki, plastykowe zwierzątka – ul. Władysława IV 1 m 91, 76-200 Słupsk
68. *Renata Sieradzka*, lat 13, widokówki, wróżby – Goślice, 09-422 Ciachcin
69. *Barbara Skrzeczek*, lat 14, malarstwo, książki – Trzebunia 395, 32-438 Kraków
70. *Józef Skrzeczek*, lat 15, sport, lotnictwo – Trzebunia 395, 32-438 Kraków
71. *Ewa Skubiola*, lat 15, muzyka, fotosy aktorów – Bursa Międzyszkolna, ul. St. Sempołowskiej 1b, 27-500 Opatów
72. *Barbara Słonina*, lat 14, medycyna, sport – Trzebunia 132, 32-438 Kraków
73. *Bożena Soboń*, lat 14, muzyka, widokówki, znaczki – ul. W. Wasilewskiej 7 m 3, Strzelce Opolskie, 47-100 Opole
74. *Izabela Sokólska*, lat 13, sport fotografika – ul. Manifestu Lipcowego 176 m 2, 15-879 Białystok
75. *Agnieszka Sowa*, lat 12, filatelistyka, proporczyki – ul. 8-ej Dyw. Wojska Polskiego 17 m 5, 59-930 Pieńsk
76. *Grażyna Sroślak*, lat 14, książki – ul. Pawia 4 m 11, 00-164 Warszawa
77. *Beata Sukiennik*, lat 13, widokówki, fotosy piosenkarzy – ul. Olimpijska 12 m 32, 93-426 Łódź
78. *Anna Sulińska*, lat 14, moda, naklejki, fotosy piosenkarzy – ul. J. Krasickiego 39 m 36, 85-882 Bydgoszcz
79. *Maryla Szczęsna*, lat 15, geografia, historia, literatura kryminalna – ul. Lumumby 10h m 68, 80-371 Gdańsk-Oliwa
80. *Katarzyna Szewetowska*, lat 14, medycyna, historia, turystyka – ul. Żenkilowa 18, 04-775 Warszawa
81. *Ewa Szymańska*, lat 14, kultura Indian – ul. Zakręt 20, 65-179 Zielona Góra
82. *Elżbieta Świerczyńska*, lat 14, fotosy piosenkarzy, konie – ul. Borowska 28 m 1, 50-532 Wrocław
83. *Aldona Tkaczuk*, lat 12, śpiew, widokówki – ul. Polna 2, 78-422 Gwoła Wielka
84. *Małgorzata Trzeciak*, lat 14, muzyka młodzieżowa, książki, maskotki – 59-725 Ławszowa 125
85. *Danuta Waszczuk*, lat 15, widokówki, znaczki, piosenki – Ponarlica 30, 16-204 Rygałówka
86. *Maria Waszkowska*, lat 13, widokówki, maskotki, nalepki – ul. Dworcowa 7 m 52, 30-559 Kraków
87. *Violetta Wensław*, lat 14, widokówki, maskotki, proorczyki – ul. Przemysłowa 9 m 38, 14-510 Orneta
88. *Katarzyna Wierzchowska*, lat 12, pocztówki, filatelistyka, naklejki – ul. Sarnia 35 m 1, 71-777 Szczecin
89. *Krystyna Wijatyk*, lat 14, matematyka, chemia – 46-264 Krzywiczyny 54
90. *Iwona Wilk*, lat 13, filatelistyka, kalkomania, pocztówki – ul. Gałczyńskiego 6 m 61, Kielce
91. *Barbara Wiśniewska*, lat 15, płyty, książki, humor – Os. Waltera 8 m 4, 19-200 Grajewo
92. *Anna Wołcz*, lat 13, książki, kalkomania, muzyka młodzieżowa – 59-725 Ławszowa 127
93. *Andrzej Woźnica*, lat 15, sport, filatelistyka, UFO – Trzebunia 128, 32-438 Kraków
94. *Sabina Woźnica*, lat 14, fotosy piosenkarzy, pocztówki – Trzebunia 128, 32-438 Kraków
95. *Renata Woźniak*, lat 13, wróżby, komiksy, znaczki – ul. Poniatowskiego 19 m 88, 37-450 Stalowa Wola
96. *Bożena Wszołek*, lat 13, sport, muzyka, widokówki – Stróżówka 85, 38-300 Gorlice
97. *Wiesława Zawada*, lat 14, muzyka nowoczesna, pocztówki, jęz. polski – ul. Szkolna 6, 05-314 Halinów
98. *Elżbieta Zimna*, lat 15, medycyna, zwierzęta – Janowo, 86-261 Dąbrowa Chełmińska
99. *Józefa Żarów*, lat 13, widokówki, fotosy aktorów – Łysakówek 82, 39-306 Górki
100. *Barbara Żmuda*, lat 15, moda, widokówki – Borek Szlachecki 35, 32-050 Skawina.

WARUNKI PRENUMERATY
Cena prenumeraty krajowej „Płomyka" wynosi:
kwartalnie 21 zł
półrocznie 42 zł
rocznie 84 zł.
Wpłaty na cały rok, I kwartał i I półrocze przyjmowane są do 10 grudnia;
na II kwartał do 10 marca;
na III kwartał i II półrocze do 10 czerwca;
na IV kwartał do 10 września.
Wpłaty od czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i doręczyciele. Szkoły i instytucje w miastach zamawiają prenumeratę w Oddziałach lub Delegaturach RSW „Prasa-Książka-Ruch", natomiast szkoły oraz instytucje z miejscowości, w których nie ma Oddziału (Delegatury) RSW „P-K-R" zamawiają prenumeratę w najbliższym urzędzie pocztowym. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch".
Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa
– konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11
Prenumerata zagraniczna jest droższa o 50%
dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji.

METRYKA NUMERU
Dwutygodnik dla młodzieży
Warszawa 10 grudnia 1979
Skład techniką fotoskładu (Linotron 505 TC) oraz druk wykonały Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego" w Warszawie.
Nakład 200300 egz.
Zamówienie nr 203/CD O-65

INDEKS: 36876

ADRES REDAKCJI
„Płomyk"
ul. Spasowskiego 4
skrytka poczt. 380
00-950 Warszawa

TELEFONY
26-26-31 (redaktor naczelny)
26-24-31 w. 80 (sekretarz redakcji)
26-24-31 w. 82 (Dział Łączności z Czytelnikami)

TADEUSZ I ZOSIA

ILUSTRACJE DO „PANA TADEUSZA" WYKONANE W RÓŻNYCH LATACH PRZEZ RÓŻNYCH ARTYSTÓW

DRZEWORYT z cyklu ilustracji wykonanych przez Michała E. Andriollego w 1881 r.

RYSUNEK z karty tytułowej ozdobnego wydania „Pana Tadeusza" z 1950 r., zilustrowanego przez Tadeusza Gronowskiego

ILUSTRACJA z kalendarza na rok 1980, ozdobionego 12 ilustracjami Janusza Stannego do „Pana Tadeusza"

KTÓRA Z TYCH ILUSTRACJI PODOBA SIĘ WAM NAJBARDZIEJ?

Cena 3,50 zł